



03204

BIBLIOTEKA WYDZIAŁU
Pedagogiki i Psychologii - Uniwersytetu w Białymstoku



WPP0004651



MIESIĘCZNIK OBRAZKOWY DLA STARSZEJ DZIATWY
PISIMO DLA STOWARZYSZEŃ SZKOLNYCH I BRACTW DZIECIĘCYCH

W NOWYM ROKU.

Gwiazdy szczęścia każdy pragnie,
Wznosi tęskny ku niej wzrok,
Patrzy, patrzy, co przyniesie
Nowy Rok.

Niech na duszy odrodzeni
Techniem Bożych, świętych łask
Wszyscy idą, pełni ciszy,
W słońca blask.

Od cierpienia któż obroni
Wśród nieznanych życia dróg?
Matka Święta i Łaskawy
Syn Jej — Bóg.

Przecież wiemy, że Ty
Czarnej doli sił
I rozjaśni
N

Daj nam, Matko, siłę ducha
Odwróć klęski straszny cios
I w przejasne czyste kwiaty
Zmień nasz los.

C
T
M
W

(„W Nowym Roku“ z najnowszej książki ks. Ewarysa
Matce Najświętszej. Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Życiorys „Małego Światka“.

(Z powodu czterdziestolecia istnienia.)

W ostatnich dziesiątkach lat XIX wieku ciężko bardzo rozwijały się czasopisma w zaborze austriackim. Polacy pod tym zaborem mieli więcej swobody, życie narodowe nie było tak krępowane i prześladowane jak pod dwoma innymi zaborami, ale właśnie dla tego, że cenzura była mniej ostra, że autorzy i wydawcy mogli pisać i drukować swobodniej, dla tego wszelkie wydawnictwa wychodzące w byłej Galicji skazane były na rozchodzenie się tylko w tej części Polski i mało które mogły się dostać za kordony, gdzie każde słowo polskie podejrzewano o podniecanie do buntu i ostro je kreślono. Stąd to liczba czytelników i prenumeratorów pism galicyjskich była tak ograniczona, że nie mogła pokryć kosztów wydawnictwa, padały więc jedne po drugich. To samo działo się z pismami dla młodzieży i dzieci.

Warszawa posiadała kilka pism dla dzieci młodszych i starszych, pismom tym powodziło się lepiej; bo miały dostęp do dwóch innych zaborów, lecz nie wolno tam było wypowiadać gorętszych słów, nie wolno było drukować artykułów patriotycznych sławiących przeszłość narodu, budzących nadzieję na przyszłość, nie wolno było sławić czynów wielkich Polaków, ani stawiać ich na przykład młodzieży. Zaledwie jaką powiastką historyczną było wolno drukować, a dawnych o treści nie małymi.

końcu r. 1887

wzrost

so-

acha

am-

olski

pera-

wa-

wy-

łego

owa,

tru-

swą była uczenicę Joannę Rossowską młodą uzdolnioną poetkę, a że obie nie znały technicznej strony wydawnictwa, więc w wydaniu pierwszych numerów pomagał im mąż Joanny poeta i dziennikarz Stanisław Rossowski: (Przeczytajcie „Ballon” na str. 18). Państwo Rossowscy pomagali, główną pracę wykonywała A. Lewicka. Ona też ponosiła koszt wydawnictwa. O opłacaniu współpracowników na razie nie mogło być mowy. Więc redaktorka pisała co było potrzeba, wyszukiwała po bibliotekach materiały a oddawszy numer do druku krajała opaski, naklejała je, adresowała ręcznie, porządkowała pocztę, w ekspedycji pomagały jej dzieci, którym za pomoc dawała numery „Małego Światka“.

W pierwszym roku „Mały Światek” miał 300 prenumeratorów, liczba ich rosła bardzo powoli, przez 10 lat trzeba było dokładać do wydawnictwa po 3.000 do 4.000 koron, bo o ile rosła liczba prenumeratorów, o tyle redakcja starała się podnosić wydawnictwo. Po dziesięciu latach takiej pracy założycielką „Małego Światka” z własnych funduszów już opłacała tylko lokal i dawała bezpłatnie prawie całodzienną pracę.

Pismo mogło już opłacać administratorkę, ekspedytorkę i współpracowników. Sama redaktorka pisała artykuły treści okolicznościowej, (głównie narodowe) przyrodnicze, z dziedziny wynalazków, prowadziła korespondencje, które pochłaniały najwięcej czasu. Artykuły te podpisywała kilkoma nazwiskami. Głównymi współpracownikami byli pp. Bolesław wicz (pisał kamedyjkę i wedy), inż. Bożański, (zabawki naukowe) ak na str. 29 nuty, obrazki, sceny, Zofja Strzelec Grynbergowa i Walerja Szalay (powiastki historyczne), pani Swelina Jezierska Eulenfeld, (wierszyki) — ak na str. 31 i kamedyjkę. Powiastki i wierszyki dla najmłodszych pisywała córka redaktorki Janina Lewicka i Moszyńska. Od czasu do czasu zaskakiwała „Mały Światek” Maria K.

ogłosiła „Rotę” śpiewaną dziś przez cały naród, a po sławnych wypadkach wrześnińskich przysłała „Światkowi” wiersz „Prusak męczy polskie dzieci” i inną poezję odpowiednie dla dzieci i młodzieży.

Joanna Rossowska krótko pracowała w „Małym Światku” umarła młodo, licząc zaledwie 23 lata. Później razem z p. A. Lewicką wydawała „Mały Światek” Stefania Kossowska, ale i ta zaledwie kilka lat brała udział w tej pracy, umarła także. W roku 1911 obok Anny Lewickiej objęła wydawnictwo Marja Reutt i pracowała w „Światku” do wybuchu wojny. (Utwór jej na str. 19.)

Chcąc mieć czytelników w najszerzszym gronie dziatwy „Mały Światek” po paru latach istnienia zaczął wydawać dwa dodatki „Światelko” dla najmłodszych i „Biblioteczkę” dla starszych. „Światelko” podawało krótkie powiastki, bajeczki artykuły przyrodnicze a „Biblioteczka” drukowała dłuższe — powieści historyczne. Z czasem i dawne czytelniczki „Małego Światka” zasilają go swojemi pracami.

Ponieważ głównym celem wydawnictwa było wyrobienie z dzieci dzielnych obywateli patriotów, więc redakcja rozwinęła szeroką korespondencję z czytelnikami. Co dzień do skrzynki redakcyjnej wpadało kilkanaście a nie rzadko i kilkadziesiąt listów i kartek, za pomocą których „Mały Światek” zawiązał serdeczny stosunek z czytelnikami.

Bywały listy wesołe, pełne dziecięcej naiwności, ale były i inne pełne smutku, bywały listy z czarnymi obwódkami, w których dziecko skarżyło się, że odeszła je matka lub że utraciło ojca. Gdy jeden chłopczyk, syn żołnierza z 63-go roku, utracił ojca, a matka nie mogła go dalej kształcić, napisał o tem list do „Małego Światka”, „Światek” zapukał do serc swych czytelników i popały się pieniążki na kształcenie nieznanego ani z twarzy ani nazwiska rówieśnika. To był pierwszy zbiorowy czyn czytelników „Małego Światka”.

„Mały Światek” zrozumiał wtedy, że posiadał klucz czarodziejski do serc swych

zrozumiałe dla czytelników, słowo które każdą, najpoważniejszą sprawę umiało im przedstawić w takiej formie, że zrozumieć a przynajmniej odczuli je wszyscy od najstarszych — do najmłodszych. Było to słowo, o którym potem powiedział były czytelnik „Małego Światka”, że taką ma cudowną moc, że rządzi w głębiach małych serc“.

A działy się wówczas rzeczy bardzo smutne dla Polaków. Zabory wtargnęły do zaciszy domowych, zakazali dzieciom polskim nie tylko mówić, uczyć się, ale nawet modlić się po polsku. Były to czasy „Wrześni” i „strajków szkolnych“.

Więc „Mały Światek” opowiadając dzieciom o tem, co się teraz dzieje w ojczyźnie, pouczał je, jak należy stawiać czoło przemocy, aby ochronić się od zgłady, jak wyrabiać w sobie hart, jak pracować, ażeby odzyskać utraconą wolność. Mówił dzieciom, że dziś bronią naszą nie stalowa zbroja, ale bezustanne czuwanie, praca codzienna drobiazgową, wyrzekanie się osobistych przyjemności, zachęcał ich do wytrwałego spełniania małych prac — a te małe ofiary i codzienne drobne roboty złożą się w jeden wielki czyn, który obroni ojczyznę od zgłady i wolność jej wróci.

Wtedy właśnie w ówczesnej Galicji powstało „Towarzystwo Szkoły Ludowej”, które uczyło analfabetów czytać, zakładało po wsiach czytelnie i szkoły polskie tam, gdzie ich dzieci polskie nie miały. Towarzystwo wezwało wszystkich Polaków do pracy i do składek po 2 korony na rok. — Dwie korony rocznie, to cztery centy tygodniowo. Więc „Mały Światek” wezwał swych czytelników, aby i one składały cztery centy tygodniowo, ale żądał, żeby te pieniądze były nie wyproszone u rodziców, ale zarobione. Więc czytelnicy „Małego Światka” wymyślali rozmaite sposoby zarabkowania w domu.

Jedni pomagali w nauce młodszemu rodzeństwu, za co rodzice wrzucali co tydzień 4 centy do skarbonki na „Tow. Szk. Lud.”, inni obierali drzewa z gąsienic, łuszczyli groch, ścierali kurze, dziewczynki obrebiały ściereczki, cerowały, lały.

gdzie matka postugiwała, obierzyny z kartofli, nosiła je kobiecie, która miała świnię i dostawała za to tygodniowo 4 grosze.

Zbierały więc dzieci grosze, a redakcja rozdzielala je na cele narodowe. A wiala na szkołę polską, w Białej na Śląsku, na gimnazjum w Cieszynie, na dzieci wrzesińskie, na ofiary strajków szkolnych w Królestwie, na Dar Grunwaldzki. I tak w ciągu lat 12-tu zbierali czytelnicy „Małego Światka” przeszło 35 tysięcy i zrozumieli ważność drobnych oszczędności i zbiorowych usiłowań.

Po kilku latach takiego przygotowania „Mały Światek” postanowił dać swym czytelnikom możność stworzenia własnego dzieła — a dziełem była szkoła własna założona w Kulikach w wiosce polskiej, której mieszkańcy Polacy zapomnieli mówić po polsku. Szkołę założył „Mały Światek” w małej chatce, potem zbudował obszerny dom, i w domu tym założył warsztat stolarski, w którym wiejskie dzieci uczyły się robić zabawki. Szkoła ta dziś zamieniła się w fabrykę w której nie tylko już dzieci pracują, ale i 20 maszyn, a dyrektorem jej jest były czytelnik „Małego Światka” pan Zdzisław Orłoś, któremu fabryka zawdzięcza swój rozwój.

Najświetniejsze w rozwoju „Małego Światka” były lata od 1910—1913. W owych latach za pośrednictwem „Kurjera Poznańskiego” dostał się „Mały Światek” nawet pod zabór pruski i do dzieci polskich w Berlinie. W. W. Ks. Poznańskim i w Berlinie miał „Światek” przeszło 800 czytelników. Wprawdzie w numerach wysyłanych do państwa niemieckiego trzeba było wyrzucać niektóre artykuły i skreślać śmielsze powiedzenia, ale mimo to można było dzieciom pod zaborem pruskim mówić o Polsce.

Aż oto w roku 1913 z powodu artykułów o powstaniu z r. 1863 „Mały Światek” został wyrzucony z tamtej części Polski. Zebrał się królewski sąd w Poznaniu i w imieniu jego królewskiej mości Wilhelma II króla Prus, skonfiskowano numery wysłane pod zabór pruski,

wzywa tym samym do zbrojnego powstania, do wskrzeszenia państwa polskiego w dawnych granicach — zagraża więc spokojowi państwa niemieckiego i wydano wyrok mocą którego zabroniono „Małemu Światkowi” wstępu do państwa niemieckiego a numery jego skazano na zniszczenie. Wyrok ten był bardzo dotkliwy dla „Małego Światka”. Utrata czwartej części czytelników była ciężką stratą i moralną i materialną. Próbował „Mały Światek” dla zaboru pruskiego wydawać pismo „Nasz Towarzysz”, który w części był identyczny z „Małym Światkiem” ale w którym opuszczano ustępy bardziej patriotyczne. Ale i to pisemko konfiskowano na pocztach.

Tymczasem nadszedł rok 1914. Wybuchła wielka wojna. Tę część Polski, w której wychodził „Mały Światek” zajęli Moskale. Pism polskich nie wolno było drukować, poczty nie istniały, wiele rodzin uszło przed najazdem, czytelnicy „Małego Światka” rozproszyli się. Dopiero gdy z Małopolski ustąpili Moskale, gdy ludzie zaczęli wracać do zburzonych, spalonych siedlisk, coraz ktoś z rodziców i czytelników wstępował do redakcji i opowiadał o strasznych przejściach wojennych. Liczba prenumeratów zmalała bardzo, rodzinom brakło chleba, pismo kupować nie miano za co, a papier i druk podrożały bardzo; mimo to choć rzadziej, choć na brzydkim papierze, choć bez obrazków „Mały Światek” dalej wychodził dla garstki czytelników, która mu została. Nareszcie w roku 1918 spełniło się marzenie Polaków, powstała Wolna Polska, ale Lwów wciąż jeszcze, pławił się w ogniu wojny. Chcieli nam go zabrać Ukraińcy a potem w roku 1920 bolszewicy. Podczas walk ukraińskich starsi czytelnicy i ci co niedawno czytać go przestali, brali udział w bitwach. Bronili gorąco Lwowa, jedni padali na polu walki, inni w chwilach przeznaczonych na spoczynek wpadali do redakcji, opowiadali o przebiegu walk, o tych co zginęli.

„Mały Światek” przechodził także ciężkie koleje. Raz gdy wydrukowane numery niesiono z drukarni do redakcji, roz-

kuwano wpadła bomba i znowu zniszczono numer i czcionki.

W jesieni roku 1920 redaktorka zachorowała ciężko. Zabrakło jej pomocy. Towarzyszka z lat 1910—1914 p. Marja Reutt wróciła do ziemi Wileńskiej, skąd pochodziła, a gdzie teraz trzeba było pracowników. Znowu jak w latach założenia redaktorka musiała sama wszystko załatwiać. Brakło pomocników, bo teraz ze Lwowa rozjechali się na całą Polskę do nowo tworzących się szkół, urzędów, a redaktorka po trzydziestu kilku latach pracy, sama licząc lat 68 i będąc chora już tej pracy i to w daleko cięższych warunkach poddać nie mogła. Nie mogła jej też pomóc córka, która podczas wojny straciła męża i teraz pracowała w wojskowym szpitalu, bo w latach 1918, 1919 i 1920 Lwów był przepełniony rannymi.

Aż oto co się stało!

Wilhelm II przestał być cesarzem Niemiec i królem pruskim. Kordony

dzielące Polaków padły. Sąd niemiecki musiał się wynieść z Poznania a „Mały Światek” zyskawszy prawo obywatelstwa w całej Polsce, przeniósł się do Poznania, z którego wyrokiem sądu niemieckiego przed 8-miu laty został wygnany.

Pracę rozpoczętą niegdyś pod zaborem austriackim podjęli poznańscy. Redakcję „Małego Światka” objęli ks. prob. Ruciński i pani Głębocka, następnie „Zjednoczenie Młodzieży Polskiej” dawnego zaboru pruskiego; redaktorką była panna Felicja Żurowska. Wreszcie przeszła redakcja w ręce księdza Antoniego Henryka Szumana w Nawrze, na Pomorzu, b. redaktora i założyciela miesięcznika dla dzieci p. t. „Nasz Przewodnik” (1913-1920).

Niech nam żyje „Mały Światek”
Niech mu Pan Bóg dopomoże,
Wszak dla dzieci dwóch pokoleń
Był z pisemka — Siewca Boży.

Zyg. Rossowski.

SIEWCA BOŻY.

Idzie przez wielki, jasny łan
Nad całą Polską ziemią,
Ażeby złote ziarna nieść,
Gdzie małe serca drzemią.
Ażeby złote ziarna nieść
W najdalsze kątki, wszędy.
Ażeby siać i siać i siać
Na serc dziecięcych grędy.

A taką ma cudowną moc
I czary zna najśodsze,
Że rządzi w głębiach małych serc
— Mało kto tam dotrze!
Że rządzi w głębiach małych serc
I wszędzie mu otwarto,
Jakby jedyną władzę miał
Nad serc dziecięcych kartą.

Kiedy się do duszy raz
Czarodziej ów dostanie,
Nakreśla w głębiach małych serc
Słoweczko: „Ukochanie!”
I sieje w głębiach małych serc
Ziarnami złocistymi,
Miłości najcudniejszy kwiat
Dla Boga i dla ziemi.

...Idzie przez wielki jasny łan
Pokorny siewca Boży
I nic mu nie zawiąże rąk
I nic go nie zatrwoży.
Po cichu w głębiach małych serc
Miłości siejąc słowo.
Z cegiełek małych: młodych serc
Polskę buduje nową.



Portret pani Anny Lewickiej, zasłużonej założycielki „Małego Świątka“, rycerza orderu „Polonia“ R. stale do dziś we Lwowie zamieszkałej.

Pani Annie Lewickiej salościcielce „Małego Świątka“ w holdzie.

Czcigodna Pani, czterdzieści lat mija,
gdyś polskiej dźiatwie pismo założyła,
gdyś wyszła rzucić złote myśli ziarna,
gdy się Twa praca zaczęła oliarna,
gdy macierzyńskie rozwarłaś ramiona,
świat polskiej dźiatwy zgarniając do łona.

Byłam ja niegdyś jedna z Twojej dźiatwy,
O jakże pilnie chłonełam ten „Świątek“,
z jakim go drzeniem serca wyglądałam
i jak Cię Pani, nie znając, kochałam!
Dziś w moich skarbach jest rocznik schowany,

Twe czytelniczki dawno w życie poszły
i ziarno Twoje znów w nowy łan sieją,
lecz gdy w dziecięce lata, myślą wrócą,
gdy się im w duszy wspomnienia ocucą,
to dają znowu w ręce swoich dźiatek,
ten zawsze bliski, drogi „Mały Świątek“.

Czcigodna Pani, nisko schylam głowę,
przed Twą zasługą. Siałas dobre ziarno
i w plon się bujny rozrosło na łanie,
zrodziło dobroć, wiarę, miłowanie.
Bóg Ci to kiedyś stokrotnie nagrodzi,



Kościół Zbawiciela przy Placu Zbawiciela.

Jadwiga Warnka.

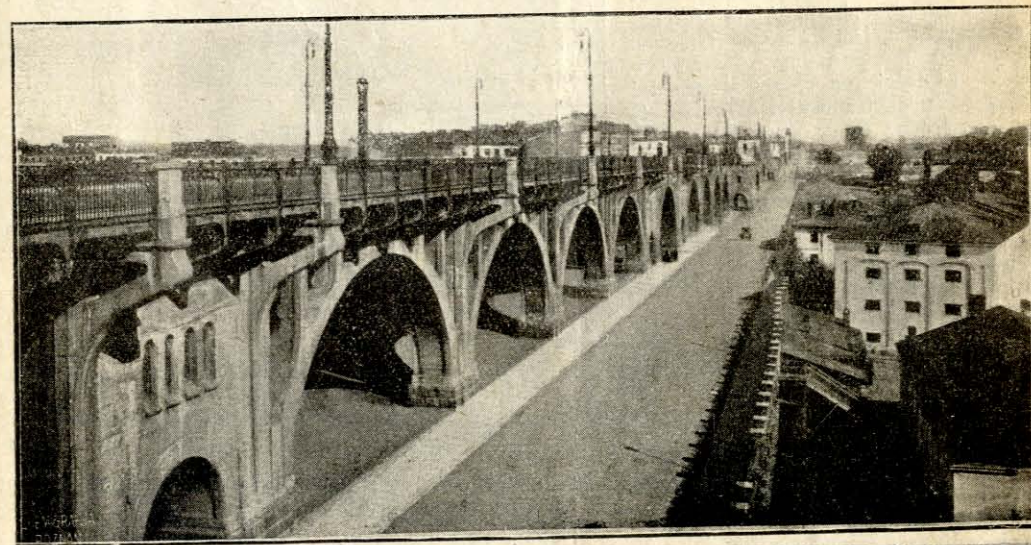
LISTY ZOSI Z WARSZAWY.

(List ten pisany jeszcze latem, przyniósł Józio dopiero teraz do redakcji.)

Kochany Józiu!

Niedawno pojechaliśmy we czworo, bo i pan Czarniecki był z nami, do *Parku Skaryszewskiego*. Jechaliśmy tramwajem przez całe *Krakowskie Przedmieście*, a potem ulicą *Nowym Światem*, ciągle prosto aż do *Aleji Jerozolimskich*. Wtedy tramwaj skręcił na lewo i przejechawszy *Aleję Trzeciego Maja*, wjechaliśmy niebawem na *Most Poniatowskiego* (zob. obrazek).

Moja dobra Matusia chrzestna pozwoliła mi stać na platformie, abym się lepiej mogła *Wiśle* i obydwoj jej brzegom przypatrzeć. Pan Czarniecki wyszedł do mnie na platformę i wszystko mi objaśniał. Przed sobą miałam *Pragę*, za sobą *Warszawę*. *Wisła* przedstawiała się cudnie, bo dzień był bardzo piękny i niebo bez chmurki. Na rzece ruch ogromny: statki parowe, berlinki, łodzie i łódki, które mknęły szybko pod wprawna ręką wiosłarzy i wiosłarek. Prawie żałowałam, jak już przejechaliśmy *Wisłę*. Stanęliśmy wreszcie przed bramą *Parku*. Mówię Ci, co to za park. Wielki, piękny, ślicznie położony, z jednej strony z widokiem na obszerne łąki. A jakie drzewa, jakie krzewy, jakie kwiaty, jakie róże!!!



Teraz już niewiele kwitnie, ale w czerwcu było ich tysiące. Pani Czarnecka mówi, że w tej części parku, zwanej „Rozarium” nie można się było wprost napatrzyć wszystkim odmianom, których zapach wprost upajał. Z Rozarium poszliśmy nad staw, na którym dzieci ze szkół powszechnych uczą się wiosłować. Wielki tam był ruch. Powiadam Ci, nietylko chłopcy, ale i dziewczęta doskonale wiosłowały i nigdy żadna łódka nie najechała na drugą.

Byłabym bardzo chętnie wsiadła do której z łódek. Pan Czarnecki widać to odgadł z mego spojrzenia, bo chciał mię przewieść po stawie, ale nie było żadnej wolnej łodzi. Byliśmy w parku ze dwie godziny i jeszcze go nie widzieliśmy całego, bo jest bardzo rozległy. Wróciliśmy tramwajem, ale drugą stroną przez *Pragę* i *Most Kierbedzia*, prosto przed dom, w którym mieszkają państwo Czarneckcy. Spałam, doskonale po tej cudnej przechadzce. W środę rano poszliśmy we dwie z panią Popowską przez *Saski Ogród* na ulicę *Marszałkowską*, która jest bardzo długa, a ruch na niej nie do opisanania. Tramwaje dzwonią, samochody trąbią, a pomiędzy nimi posuwają się przechodnie, nieraz z wielkiem niebezpieczeństwem życia, bo niema prawie dnia, żeby samochód jakiego mężczyzny, a częściej jeszcze starszej kobiety lub dziecka nie przejechał. Szliśmy chodnikiem po lewej stronie. Piękne domy, niektóre bardzo wielkie i wysokie, a co różnych magazynów, sklepów, cukierni, kin! Szłam tuż przy samych domach, aby się przyrzec wystawowym oknom. Szliśmy tak aż do miejsca, gdzie ulicę *Marszałkowską* przecinają *Aleje Jerozolimskie*. Tam jest *Dworzec Główny*. Ruch więc też ogromny. Minęliśmy *Aleje* i dalej na *Marszałkowskiej* wsiadliśmy do tramwaju. Wsiadliśmy dopiero na *Placu Zbawiciela*, który także przecina ulicę *Marszałkowską*. Ulica ta dopiero się kończy przy *placu Unji Lubelskiej*, a za nim część *Warszawy*, zwanej *Mokotów*. Na *placu Zbawiciela* jest piękny, nowy kościół, którego Ci posyłam fotografię (str. 7). Z kościoła tego podczas wojny zdarli Niemcy miedziany dach, ale teraz jest wszystko doprowadzone do dawnego porządku. Weszliśmy do kościoła i trafiliśmy właśnie na mszę świętą przed ołtarzem świętego *Ekspedyta*. Jest to święty do którego wiele bardzo osób w *Warszawie* ma szczególne nabożeństwo i ciągle płyną składki na upiększenie ołtarza. I ja się pomodliłam szczerze do tego świętego, aby mi dopomógł wyrosnąć na znaną, pracowitą kobietę, dobrą córkę. Kościół świętego *Ekspedyta* jest bardzo

ła poszliśmy znów pieszo aż na *plac Unji Lubelskiej*, gdzie jest bardzo ładny w samym środku skwer, czyli ogrodzony ogródek z krzewami i kwiatami. Z *placu* rozchodzą się bardzo dużo ulic. Było już późno, więc wróciliśmy tramwajem prosto do siebie przez *Marszałkowską*, *Aleje Jerozolimskie*, *Nowy Świat* i *Krakowskie Przedmieście*.

Pani *Popowska* tym naszym spacerem trochę się zmęczyła, więc po obiedzie nie chciała już



Krakowskie Przedmieście z kościołem św. Krzyża.

wyjść i obie panie zostały w domu, a pan Czarnecki ze mną pojechał na *Powązki*, aby mi pokazać katolicki warszawski cmentarz. Jechaliśmy najpierw przez ul. *Senatorską*, *Plac Teatralny*, *Białańską*, *Leszno*, a potem wjechaliśmy w dzielnicę czysto żydowską, tak zwane *Nalewki*. Co tam żydów. Co za szwargot! Sklepy też wszystkie żydowskie! Mineliśmy nareszcie tę niemiłą dzielnicę i przez ul. *Powązkowską* dojechaliśmy do bram cmentarza. To prawdziwe

wspaniałych pomników, ilu ludzi wielkich i szlachetnych śpi tam snem wiecznym, ile serc, które były dla braci, dobra, nauki i cnoty! Pan Czarnecki mówił, że cmentarz ten zawsze jest pełen smętnego uroku: czy rozkwieciony w maju z rozbrzmiewającą w krzewinach pieśnią słowiczą, czy latem, czy w jesieni, kiedy zeschny liść opada i szeleści smutno pod stopami przechodniów, czy zimą, kiedy puchy śniegu, okrywają mogiły. Na cmentarzu było dużo osób i tak podobno jest codzień. Ale w *Dzień Zaduszny* to całe tłumy tam dążą, bo każdy chce na grobach swoich bliskich choć skromny wianek położyć, choć małą lampkę zapalić. To też ze zmrokiem cały cmentarz od światła płonie.

Wracałam zamyślona i trochę smutna; dziękowałam jednak p. Czarneckiemu, że mi *Powązki* pokazał.

Kończę. Bądź zdrow!

Zosia.

List czwarty.

Kochany Józiu!

Dziwisz się, że w *Warszawie* są takie śmieszne nazwy ulic, jak *Żelazna*, *Nowy Świat*. O, są jeszcze dużo dziwniejsze! Jest ulica *Ciepła*, *Chłodna*, *Czysta*, *Gęsia*, *Żórawia*, *Wronia*, *Chmielna*, choć na *Ciepłej* nie jest cieplej, a na *Chłodnej* — zimniej, niż gdzieindziej, ani *Żórawie* nie latają na *Żórawiej*, a na *Chmielnej* chmiel nie rośnie. Jedną jest też *Koszykowa* (bez fabryki koszyków) ale jest tam ładny kościół: *Piotra i Pawła*. Ulic w *Warszawie* jest wielkie mnóstwo, ale ktoby je zliczył i spamiętał! *Placów* też jest sporo. Oprócz czterech, które Ci już dawniej wymieniałam, jest *plac Napoleona*,



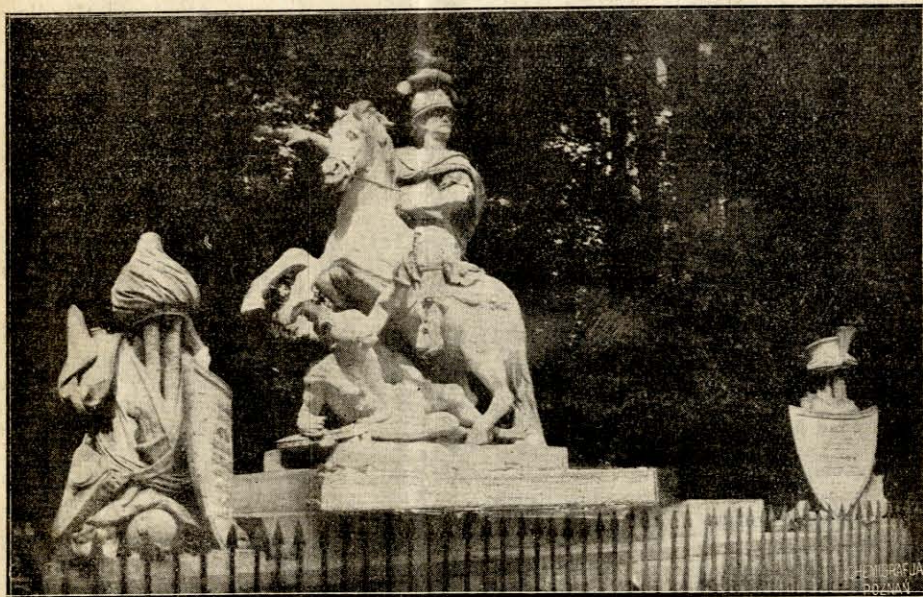
Małachowskiego, *Dąbrowskiego* i inne, których jeszcze nie znam. Pytasz się, czy tyle jest szkół, co w *Krakowie*. O, jeszcze wiele więcej, bo przecież *Warszawa* jest największym miastem w *Polsce* i liczy przeszło milion mieszkańców. Jest kilkaset szkół powszechnych, kilkadziesiąt średnich czyli gimnazjów, szkół zawodowych, niższych handlowych, a z wyższych, *Uniwersytet*, gdzie uczą na doktorów, profesorów, *Politechnika*, skąd wychodzą różni inżynierowie, *Szkoła Sztuk pięknych* dla artystów malarzy i rzeźbiarzy, *wreszcie Akademia Handlowa*, najwyższa szkoła, w której się młodzież kształci na kupców. Do wszystkich tych szkół uczęszczają i chłopcy i dziewczęta. Ze wszystkich tych szkół wybrałam sobie — po ukończeniu naszej szkoły na wsi — szkołę zawodową, w której dziewczęta uczą się zegarmistrzostwa. Pani Czarnecka mówi, że to bardzo dobre zajęcie dla kobiety cierpliwej i dokładnej. Może pracować w domu i być bardzo pożyteczną dla rodziny i społeczeństwa. A Ty, gdybyś mógł, jaką wybrałbyś sobie szkołę? Jest jeszcze jedna, bardzo pożyteczna szkoła w *Warszawie*, a mianowicie szkoła dla dzieci głuchoniemych i ociemniałych. Wybierz sobie — dzieci głuchonieme uczą tam mówić. Nauczyciel bardzo starannie otwiera usta przy wymawianiu każdego wyrazu, a dzieci tak samo otwierają i tym sposobem zapoznają się z całym abecedem, a wreszcie z wyrazami. Dzieci niewidome uczą się czytać na książkach z wypukłymi znakami i nie czytają oczami, tylko palcami, posuwając je na książce. Pani Czarnecka była w tej szkole na popisie i mówi, że dzieci tak gładko czytały, że przyjemnie było

słuchać. Widziała też różne robótki tych nieszczęśliwych dzieci. Głuchonieme odpowiadały nie na migi, ale wyrazami. Głos tylko ich był trochę niemy, bo one się przecież nie słyszą.

Ochronek — takich jak u nas — jest też bez liku, a prócz tego różne przytulki dla sierot, a nawet — niemowląt, tak zwane żłóbki.

Szkoła Głuchoniemych i Ociemniałych jest na *Placu Trzech Krzyży*. Niedaleko stamtąd ciągną się *Aleje Ujazdowskie*, przy których jest

park Ujazdowski, niezbyt obszerny, ale także starannie utrzymany. Dalej *Alejami* dojdzie się do *Łazienek*, a jeszcze dalej do *Belwederu*, rezydencji marszałka Piłsudskiego. Nie myśl jednak, że Łazienki to jakieś łaźnie, czy kąpiele! Jest to pałac, wybudowany przez ostatniego króla Polski, *Stanisława Poniatowskiego*, stryja księcia Józefa. W pałacu jest ślicznie. Można go zwiedzać. Przed pałacem sadzawka, a około niej różne figury. Park jest także



Pomnik króla Jana Sobieskiego w „Łazienkach“.



piękny. W jednym miejscu tak zwana pomarańczarnia. Rosną tam w wielkich kubbach drzewa pomarańczowe. Kwitną białe i bardzo pachną. Niektóre pomarańcze dojrzewają, ale są gorzkie, bo nie mają gorącego słońca południowych krajów. W ziemie te drzewa są pod dachem w cieplarniach. Dalej na kamiennym moście, zwanym mostem Sobieskiego, prowadzącym z Łazienek do ulicy Agrykola wznosi się *posąg króla Jana III*, zwycięzcy z pod Wiednia (na str. 10). Sobieski na rozpedzonym koniu trąta Turka. Pomnik ten wystawił także król Poniatowski. Jest jeszcze w parku łazienkowskim jeden piękny pomnik, niedawno postawiony. Największy nasz artysta muzyk *Fryderyk Szopen* siedzi pod złamaną wierzbą i ręce ma ułożone, jakby grał na fortepianie, a głowa odwrócona na bok, jakby sam się zachwycał swą cudną muzyką (na str. 9). Gdyśmy wrócili z Łazienek, pani Czarnecka grała cały wieczór różne utwory Szopena. Przepudne melodie. Mazurki

bardzo wesołe, a Marsz żałobny taki smutny, że chciało mi się płakać. Szopena ojciec pochodził z Francji (zobacz „Mały Światek” nr. 1 rocznik 1927). Pisał się po francusku „Chopin”, ale wymawia się Szopen. Przez ten krótki czas w Warszawie, ile ja się ciekawych rzeczy dowiedziałam. Żeby nic nie zapomnieć zapisuję sobie wszystko w zeszytiku. To mi poradziła pani Popowska.

Jedna z ulic wychodzących z placu Trzech Krzyży nazywa się *ulicą Wiejską*. Na tej ulicy jest *gmach sejmowy*, gdzie radzą nasi posłowie nad dobrem Polski. W ogromnej sali każdy poseł ma swoje miejsce; jest też wzniesienie czyli trybuna, z której się przemawia, a naokoło przy ścianach są galerje dla ciekawych, którzy się chcą sejmowi przysłuchać.

Wkrótce opuścimy Warszawę napewno. Mamy jeszcze jechać do Wilanowa i Bielan, abym poznała okolice Warszawy. Całuję wszystkich w domu.
Zosia.

Wspomnienia z uroczystości przewiezienia zwłok śp. Ks. Kardynała Ledóchowskiego do Polski.

Neugiętemu Kardynałowi — Męczennikowi w głębokim, dziecięcym hołdzie.

„Gdzie pamięć — tam miłość: gdzie miłość — tam siła

*Dziś wielki, dostojny kapłanie,
Twa trumna z zwłokami do Polski wróciła,
I radość na polskim dziś łanie!*

*Ach Polsce z tej trumny daj rozkaz i powiedz,
Że zginą niedole, katusze
Że Tobie w świątyni nie starczy grobowiec,
Że trzeba odrodzić — swe dusze.*

(Ks. Nawroński).

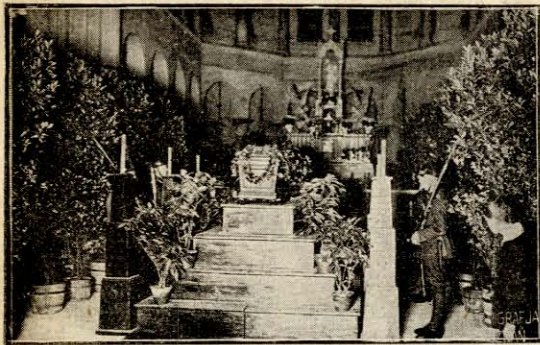
Kochane i Drogie Dzieci! Z chwilą, gdy nadszedł dzień 3 lutego — bolesna rocznica uwięzienia śp. Ks. Kardynała Ledóchowskiego przez, rząd pruski (r. 1874), przeżywam na nowo tak rzewne, nigdy nie zapomniane chwile przeprowadzenia zwłok śp. Kardynała-Męczennika z Rzymu do Poznania w końcu września r. ub. Po drodze, w Ostrowie, dzięki uprzejmości byłego ukochanego mego duszpasterza, Ks. dziekana Rolewskiego dozwolone mi było, być świadkiem wruszającej, olbrzymiej manifestacji ludu katolickiego.

Mrok wieczorny już zapadł nad miastem, kiedy kilka minut przed nadejściem drogich zwłok z Katowic, pociąg mój stanął na dworcu ostrowskim. Ujrzałem

wielebniejszym Ks. biskupem Radońskim i Dostojnym Ks. Infułatem Ledóchowskim z Ołomanca, na czele, duże zastępy wojsk, bractw, stowarzyszeń z sztandarami i szkol — wszyscy w skupionem oczekiwaniu przyjazdu pociągu, wiozącego zwłoki ś. p. Ks. Kardynała-Wyznawcy. Nareszcie się rozległ z ust do ust cichy szep: „Już jedzie! Jedzie!”

Gdy stanąłem na rześciście przez pochodnie oświetlonym placu dworcowym, gdy po odbytych ceremonjach ukazała się u wyjścia z dworca — O chwilo wzruszająca! — na barkach sokolich, tęsknie oczekiwana, skromna trumna — przytem tysiące a tysiące chylących się głów, gdy potem ruszył olbrzymi orszak żałobny postępując ulicami wspaniale iluminowanymi, gdy Duchowieństwo zaintonowało potężną pieśń „Kto się w opiekę” a dzwony z wieży kościelnej rozjęczały swe żalosne pienia, natenczas — przejęty do głębi serca powtarzałem wiersz:

„Zapalcie pochodnie,
Udercie we dzwony,
Niech wiatry roznoszą słodkie ich tony,
Bo otóż powraca sierota moja!”



Trumna z zwłokami śp. ks. kardynała Ledóchowskiego w kościele w Ostrowie.

Po upływie godziny zbliżył się pochód ku kościołowi, gdzie stała kompanja honorowa wojska. Przy śpiewie duchowieństwa wniesiono trumnę do wnętrza i umieszczono na katafalku w zieleń przybranym (jak widzicie, kochane dzieci, na załączonej fotografii). Po odmówionych modlitwach wstąpił na kazalnję wiele zasłużony kapłan — społecznik, proboszcz ostrowski, Ks. dziekan Rolewski i wygłosił przepiękną mowę żałobną.

Stosownie do słów czcigodnego mówcy: „Śpieszmy codziennie do trumny Jego, aby pomodlić się gorąco za duszę Kardynała, spłacić Mu dług wdzięczności za mężną obronę Wiary i Kościoła, oraz zaczerpnąć u trumny Jego siły moralnej do walki życiowej”, przez całą noc śpieszyli wierni do wspaniałej świątyni i sam tam później klęczałem godzinę.

Rzadko kiedy w życiu westchnałem tak gorąco do Boga — jak w onym dniu jesiennym wśród cichej nocy:

„Daj, Boże, wielkie łaski
O, daj mi, daj swe łaski,
A wtenczas pełen siły,
Bo ze mną Jezus miły“.

Prosiłem o to również dla wszystkich — którzy bliscy sercu naszemu — myślałem w Ostrowie często też o przeznaczonym Ks. Redaktorze „Małego Światka” i tak licznych jego czytelnikach — błagałem o cierpliwą wytrwałość w przeciwnościach na ciernistych drogach życia naszego. — W wtorek, dnia 27

niejszy ks. biskup Radoński z Poznania, uroczyste nabożeństwo żałobne.

Nieco później przeżyliśmy wzniosłe chwile na sali „Domu Katolickiego”, gdzie sędziwy Ks. prałat Zygmunt Ledóchowski, bratanek Kardynała — bardzo licznie zebranych pokazał cenne pamiątki po ś. p. Kardynale jak: Prześliczny, bardzo łrogocenny krzyż z łańcuszkiem (który nosił Ojciec św. Leon XIII. podczas swej Mszy jubileuszowej), biret, brewiarz, — książkę „Walka smutku z pociechą w sercu katolika”, (z książeczki tej czytał zawsze wysoki dostojnik w więzieniu); dalej pokazywano miotłę, kórą Ks. Kardynał musiał zamiatać celę jak zbrodniarze. Przez całe dwa lata pobytu w więzieniu nie było wolno Ks. Kardynałowi pisać do krewnych. Wśród orderów Ks. Kardynała widnieją takowe z Turcji, z Belgji, z Portugalji, z Columbji i t. d., jako dowód, że nawet u innowierców cieszył się Ks. Kardynał czią i przywiązaniem. Widzieliśmy także tam ołówek i list dziękczynny — napisany do Ojca Świętego Piusa IX. za odebraną nominację na kardynała — podczas pobytu w ponurych murach więzienia. — Wzruszająca była chwila, Drogie Dzieci, kiedy kilku starców przystąpiło — ucałować dłoń Ks. prałata. — Opowiadali z łzami w oku, jak przychodzili pod mury więzienia, ażeby przez okno ujrzyć oblicze ukochanego arcybiskupa-wyznawcy — lub otrzymać błogosławieństwo.

Ukochane moje dzieci! Jeszcze jeden szczegół z owych tak bardzo pamiętnych dni.

Bawiąc w nadzwyczaj gościnnym, miłym domu przew. ks. dziekana Rolewskiego, miałem sposobność, słyszeć z ust ks. prałata o dobroci wielkiej zmarłego Księcia Kościoła, o jego bezgranicznej miłości dla dzieci, — o jego wesołym usposobieniu podczas odsiadywania karni więziennej. Z sercem ogromnie wzruszonym przyrzekłem przeznaczonemu Ks. prałatowi, iż opiszę te skromne wspomnienia dla „Małego Światka”. Dnia 28 września byłem obecny na Mszy św., którą odprawił w ostrowskim więzieniu, podczas

ś. p. Ks. Kardynała i o błogosławieństwo dla Polski.

Ostatnią wzruszającą chwilą, — była ta, kiedy ksiądz prałat zaprowadził mnie do celi nr. 25, w której najdostojniejszy Ks. Kardynał był przez dwa lata uwięziony. Gdyśmy się do niej zbliżyli — uderzył czcigodny Kapłan z lekka moją prawą rękę, lzy leciały mu z oczu i usłyszałem te słowa: „Pamiętam jak dziś — miałem wówczas 1874 lat 14, kiedy wraz z ojcem odwiedziłem Ks. Kardynała, który stał w progu celi i udzielił nam swego błogosławieństwa. — Dziś wisi tam mały obrazek Ks. Kardynała ozdobiony jak i okna celi, wieńcem. Dnia 29 września, w południe w uroczystym pochodzie odprowadzono zwłoki Ks. Kardynała znowu na dworzec ostrowski i ten sam pociąg — wiozący trumnę zawiózł i mnie do Poznania. Prześliczny słoneczny, jesienny blask promieniał nad gór-

Szczesny Rogala (Anna Lewicka).

Dzielny chłopiec.

(Urywek z powieści historycznej.)

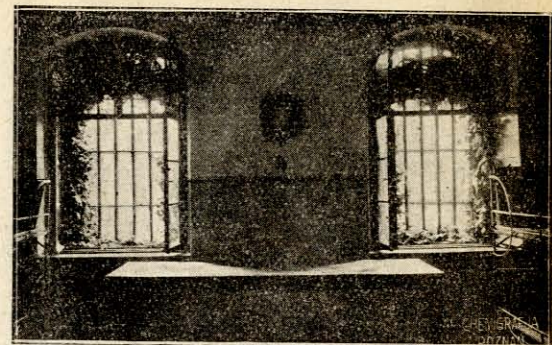
Była to zima, pamiętna zima 1863 roku.

Śnieg padał gęsto i zasypywał ślady ludzkich nóg, które przeszły przez las przed dwoma godzinami zaledwie.

Wmiejscu, gdzie leśne drogi rozchodziły się w dwie przeciwne strony, stała chatka leśnika, a w niej było dwoje ludzi: babka staruszka i dwunastoletnie chłopię. Leśnik wyszedł z chaty, bo poprowadził przez las powstańców, chcąc im wskazać drogę, która wiodła do miejsca, gdzie zbierał się większy oddział, a żona jego wybiegła do dworu dać znać, że nowi ochotnicy znowu przyszli.

Choć to była dopiero czwarta godzina może, już w chatce było prawie ciemno. Chłopak zapalił łuczyczo, a babka przystawiła do ognia garnek z kartoflami.

Nagle zdało się chłopczynie, że słyszy jakieś głosy. Nastawił uszu, zbladł i szepnął:



Cela więzienna nr. 25 w Ostrowie w której przez dwa lata więziono śp. ks. Kard. Ledóchowskiego.

kami i dolinami, — i miało się wrażenie, jakoby i niebo się radowało z powodu powrotu śmiertelnych szczątków wielkiego Kardynała-Męczennika, pochowanych w katedrze poznańskiej.

Tarnowo Podgórne, pow. poznański.
Franciszek Podlak,
kierownik szkoły.

Jeszcze chwila straszego wyczekiwania, a drzwi rozwarły się z traskiem i w progu chaty stanęli dwaj kozacy.

— Hej, którzy przeszli powstańcy?

Przerażona kobieta nie odrzekła ani słowa, stała jak skamieniała i błędny zwrok utkwiała w żołnierzu.

— To warjotka, albo głucha — mruknął drugi kozak i zwrócił się do chłopaka.

— Czy wiesz, którą drogą poszli Polaki?

— Wiem — odparł śmiało chłopak, w którego głowie błysnęła nagle jakaś myśl i wskazał drogę wręcz przeciwną.

— Weź go ze sobą na siodło — rzekł podoficer — niech prowadzi.

Pojechali, a chłopak myśli: — Nim cały las przejeździemy, nasi będą już daleko i już ich nie dogonią. — Nareszcie las zaczął się przerzedzać.

— Stój — rzekł oficer — las się koń-

Chłopak milczał.

— Przywiązać go do drzewa i rozstrzelać! — zażądała komenda.

I w mgnieniu oka skrepowano biedne chłopię i przywiązano je do drzewa. Już żołdak moskiewski wyciągnął karabin i wymierzył, gdy oficer zawołał:

— Zostawcie go, niech go pożrą wilki. I tak w nocy nikt go nie odszuka, a do rana zmarznie, bo mróz bierze tęgi.

I pojechali a chłopak został sam jeden. — Gdy ucichł tętent kopyt końskich, chłopak pomyślał:

— Ich już nie dogonią. — Potem spróbował uwolnić rękę od więzów, ale była mocno skrepowana. Uczuł jakies dziwne osłabienie, spać mu się chciało, w myśli stanęła stara babka i ciepły przypiek i garnek gorących kartofli. Pewno babka go szuka, ale czy starowina tu dojdzie, ona już tak dawno nie wychodziła z chaty, bo nogami ledwie suwa. Wśród tych myśli senność go ogarnęła, pochylał głowę i zaczął tracić świadomość swego położenia.

Naraz rozległ się tętent kopyt końskich; chłopak go usłyszał, ale już nie mógł podnieść powiek, aby zobaczyć kto to taki jedzie.

Koń stanął, a z niego zeskoczył kozak, szybko zaświecił małą polową latarkę, którą miał przy sobie, poprzecinał przy jej blasku sznury krępujące ręce dziecka, zdjął płaszcz, ułożył na nim chłopca, nalał mu w usta trochę gorzałki i zaczął rozcierać zziębnięte członki.

Zmarznięte chłopię ocknęło się.

— Chodź — rzekł kozak — posadzę cię na mego konia i odwiozę do domu.

Chłopak rzucił się na szyję kozaka, ale w tejże chwili cofnął się i szepnął:

— Tyś Moskal. Ty idziesz zabijając naszych.

— Nie dziecię. Jam Polak, przyrzuśmiony do służby moskiewskiej. Uciekłem. Prowadź mnie do ojca, abym jak najprędzej połączył się z moimi rodakami.

Na te słowa oczy chłopca błysnęły radością, znowu wyciągnął ręce do mo-

— A może ty zdrajca? — szepnął wahając się, — Tatusz nie kazał ufać Moskalom.

Twarz kozaka spochmurniała, rzucił okiem na swój ubiór i rzekł.

— Wiem, że dokąd nie zrzućę z siebie tego ubrania, nikt mi nie uwierzy, ale prowadź mnie co prędzej do twego ojca, dla niego mam taki dowód, że go przekonam odrazu... Ale i dla ciebie dowód znajduję.

To rzekłszy rozpiął mundur, wydobyl mały medalik wiszący na piersi i pokazał go chłopcu. Promień latarki oświetlił obrazek, a chłopak ujrzał Najświętszą Pannę Częstochowską.

Nachyl się — rzekł kozak, zbliżając latarkę do medalika — i przeczytaj napis.

Chłopak wyteżył wzrok i przeczytał słowa: „*Królowo korony polskiej módl się za nami*“.

— Czy sądzisz, że Moskale noszą na piersiach takie obrazki? — zapytał.

— Nie. Teraz wierzę ci. Poprowadź cię do ojca, a on niech osądzi, co ma czynić.

Kozak posadził osłabionego jeszcze bardzo chłopca z tyłu za siodłem, wskoczył sam na konia, usiadł na siodle i rzekł:

— Trzymaj się mnie dobrze, bo i tak straciłem dużo czasu, a od pośpiechu zależy ocalenie powstańców, którzy się kryją w tym lesie.

Kozak ścisnął konia ostrogą i pomknęli szybko drogą oświetloną blaskiem księżycy.

(„Mały Światek“ Rok 1896 Nr. 1.)

**-- Chłopcy starsi, pozaszkolni, --
zapisujcie się do Stowarzyszenia
Młodzieży Polskiej! Przyniesienie
nie wojskowe tamże robi z was
dzielnych obrońców ojczyzny!**

J. M. Chudek.

Przed pracą.

*Kiedy już Zbawca dziesięć miał lat,
Z Józefem świętym pracował rad,
Opiekunowi pomagał stale,
Piłując wraz z nim drzewo wytrwale.*

*Codziennie, ledwie powstał ze snu,
Mył się, ubierał, ile miał tchu,
A potem zaraz dążył pracować,
Nielubiąc ani chwili próżnować.*

*Lecz zanim prace rozpoczął swe,
Do Ojca jakiś czas modlił się,*

*Prosił i błagał Stwórcę w pokorze,
By błogostawił mu w pracy porze.*

*Każdego Jezus modlił się dnia,
Szepcząc: „Mój ojcze, niech pomoc Twa
Będzie w mej pracy; ja proszę Ciebie
O to, mój ojcze, co jesteś w niebie“.*

*I wy, dziecięcki najdroższe me,
Przed każdą pracą też módlcie się,
Modły swe ślijcie Bogu w pokorze,
A wnet doznacie pomocy Bożej.*

Dr. Jan Rogowski.

W szpitalu lwowskim.

I.

W pamiętnych walkach listopadowych r. 1918 o Lwów brał udział 16-letni *Władysław Kahaniuk*, uczeń III klasy szkoły realnej. Ranny wpadł w ręce Ukraińców, którzy wywieźli go ze Lwowa do Stanisławowa i tu umieścili w szpitalu powszechnym. Starali się go leczyć, ale tak, ażeby chłopak męczył się jak najdłużej. A może chcieli swoim bezwzględnym postępowaniem złamać hart jego ducha?

Leżał sam, na nędznym łóżku; nikogo z rodziny przy nim nie było; nie wolno było odwiedzać chorego, bo to przecie — Polak „buntownik“, który śmiał na ulicach Lwowa strzelać z karabinu do nich, — Ukraińców...

Tęsknota za domem rodzinnym szarpała jakby kleszczami żelaznymi serduszko chłopca; gorączka go paliła, ból straszny przeszywał chora pierś...

Ale nie ugiął się dzielny chłopiec — w mece ciała i ducha.

Do piersi przyciskał swoją czapkę — maciejówkę, na której widniał srebrny polski orzełek... „Mój orzełek! Mój!“ — szeptał pobladłymi ustami i całował go.

Ukraińcy leczyli go, ale tylko jednym lekarstwem, — aspiryną... A gdy litościwe matki stanisławowskie sprowadziły lekarza cywilnego, ukraińscy „stróżki“ nie pozwolili, żeby zanieśli lekarstwa.

Zgaś wreszcie bohaterski chłopiec, cicho, zdala od swoich, jako ofiara barbarzyństwa i nieludzkości.

Zgaś, — do piersi tuląc swoją czapkę-maciejówkę, szepcząc cichutko, ze łzami w oczach: „Mój orzełek! Mój!“

II.

Ludność polska postanowiła urządzić mu wspaniały pogrzeb, na jaki zasłużył, — a równocześnie pogrzeb ten miał stwierdzić wobec wrogów, którzy chwilowo władali polskiem miastem Stanisławowem, że Polska tu jest i będzie na wieki...

Ulice roiły się od żołnierzy ukraińskich, — a wśród tego morza hajdamaczyzny posuwał się majestatycznie orszak pogrzebowy, a karawan był zarzucony wieńcami i szarfami o barwach polskich. Na cmentarzu młodzież polska wzięła na ramiona białą, sosnową trumnę i poniosła do grobu, przy którym Ukraińcy spędzili dla zniewagi żydów, — i ci pogrzebać mieli zwłoki bohatera.

Polska młodzież wyrwała łopatę z rąk żydów i własnymi rękoma oddała ostatnią przysługę, dzielnemu chłopcu.

Dziś grób jego znaczy skromna deszczułka na krzyżu, na której wypaliła bratnia dłoń imię i nazwisko młodocianego obrońcy Lwowa.

Niech imię jego i nazwisko we

Anna Lewicka.

Miłość macierzyńska.

(Z życia ptaków.)

Wśród gęstych zarośli, w wilgotnej ziemi był wyłobiony niewielki dołek. Dołek ten wysłany mchem, zwiedłtem liściem, zdźbłami traw dawał schronienie dwom małym, żyjącym istotkom.

Kiedyś, w lecie w małym tem i niewymyślnem mieszkaniu wrzało życie i wesele. Zajmowała je rodzina słońek.

W małym gniazdku było gwarno. Ojciec zapuszczał codzien w wilgotną ziemię, swój niepomiernie długi dziób i stamtąd wydobywał gąsienice, poczwarki, dżdżownice i inne robactwo, które znosił do gniazdku dla swych małych. A było ich troje; wszystkie z okrągłymi główkami, długimi dzióbkami i słicznymi, wielkimi, ciemnymi oczkami.

Lecz razu jednego, gdy ojciec odleciał dalej od gniazdku, a matka zajęta była wyciąganiem tłustej liszki z pod wielkiego pnia, niedobra sroka wypatrzywszy dogodną porę, porwała z nie-nacka jedno małe.

Na okrzyk trwogi, nadleciała przeleciała matka, ale już było za późno.

Rabuś uleciał ze zdobyczą, i daremnie biedna matka biła skrzydłami, daremnie wydawała rozpaczliwe okrzyki, nieśmiała nawet odlecieć szukać zatraczonego dziecka, z obawy aby niegodziwa sroka rzuciwszy tamto, nie przyszła po resztę.

Usiadła więc zrozpaczona nad gniazdkiem i po raz pierwszy w domek ten zagościł ponury smutek.

Niedługo potem cała rodzina siedziała raz na obalonym starym pniu, znajdującym się nieopodal gniazdku. Ptaszki gwarzyły wesoło i niezauważyły zaczajonego z drugiej strony drzewa dzikiego kota, który skorzystawszy z chwili, gdy jedno z dzieci odbiegło trochę dalej, porwał je w swe szpony.

Pozostał tylko jedno dziecko.

Biedna matka nie odstępowała go ani chwilę. Nie odchodziła nawet szukać żeru, dostarczał go obydwójgu troskliwy ojciec.

Lecz widać nieszczęście zawisło nad

wszyscy razem siedzieli na drzewie, zaszleściły gałęzie i w tejże chwili padł strzał. Strzał ten pozbawił życie ojca i przestrzelił skrzydełko ostatniemu dziecku.

Zrozpaczona matka pochwyciła dziecko i razem z niem zapadła między chrusty. W sam czas się ukryła bo w chwilę potem rozchyliły się gałęzie, przyszedł myśliwy, podjął zabitego ptaka i nie troszcząc się o los sierot, poszedł dalej.

Gdy już wszystko ucichło, wróciła owdowiała słonka niosąc w pazurkach jedynę, ostatnie, okaleczone dziecko. Złożyła je ostrożnie w gniazdku, pielęgnowała, karmiła, tuliła i uratowała od śmierci. Ale biedne ptaszę zostało kaleką na całe życie.

Tymczasem nastały słotne dni jesienne. Nocą zamarzała ziemia, owady skryły się głęboko, o pożywienie było trudno.

Jednej nocy nadleciały słonki, które przed zbliżającą się zimą ciągnęły w ciepłe kraje.

O jakże gorąco pragnęły ulecieć z niemi nasze słonki — ale jakże tu lecieć bez skrzydełek?

Zostały. — O pożywienie coraz było trudniej. Zziębnięta, zgłodniała i zrozpaczona siedziała stara słonka i sama nie wiedziała, co począć — lecieć nie można i zostać nie można. Co robić? — co robić?

Gdy tak stoi i duma, usłyszała dobrze jej znany szelest. To nowe ciągi słońek dążą w ciepłe kraje i nawołują ją, aby leciała z niemi, bo od północy ciągną śnieżne chmury, a gdy przed nimi nie ujdą, zginą niechybnie.

Wówczas, jak błyskawica przeszła jej myśl przez drobną główkę; chwyciła w łapki swe okaleczone dziecko, wzbila się z niem razem w powietrze i podążyła za swemi siostrami.

Leciała tak kilka godzin. Lecz wkrótce wyczerpały się jej siły. Lot jej słabł coraz bardziej, skrzydełka poruszały się coraz wolniej, zniżała się mi-

Długo leżała tak zmęczona w jakimś nieznanym jej gaju aż w końcu wróciła do przytomności.

Cóż teraz pocznie nieszczęśliwa?

Ukryła się razem z ukochanym dzieckiem w błotniste zarośla, i tak przeżyła dni kilka.

I znowu nadleciały nowe ciągi, i znowu podążyła za niemi wraz z dzieckiem biedna matka.

Nareszcie nadleciały nad jakąś wielką wodę. Biednej słońce sił już brakło. Spojrzała wdale, a przed nią fale i fale, i jak daleko okiem sięgała wszędzie fale.

Nie troszcząc się o nią poleciały wszystkie ptaki, a ona została ze swem dzieckiem. Czuli, że jej sił nie starczy na przebycie tej wielkiej przestrzeni.

Wyciągnęła główkę, szeroko roz-

warła oczka, zatrzepotała kilka razy słabnącemi skrzydłami i razem z ukochanym ciężarem upadła na brzeg.

Nazajutrz ludzie przechodzący nad brzegiem wody widzieli nieżywe ptaszę trzymające w stępałych szponach dogorywające dziecko. Ale nikomu przez myśl nie przyszło, ile uczucia, ile poświęcenia i miłości kryło się w tem drobnem, a teraz zimnem serduszkum matki. Nikt nie domyślał się, ile przecierpiała i jak walczyła do ostatniego tchu ta biedna matka, co wołała zginąć, aniżeli porzucić chore dziecko.

I wy dzieci, nie domyślcie się często, jakie uczucia dla was kryją serca waszych matek — i ani pojąć nie jesteście w stanie, ile to cierpień, bólów i poświęcenia ponoszą dla was matki.

Pius XI wśród dziatwy.

Stowarzyszenie „Katolickich dzieci Włoch“, które tworzy jedną z gałęzi Włoskiej Ligi Katolickiej, urządza w każdej diecezji egzamin katechizmowy. Odznaczeni nagrodą odbywają pielgrzymkę do Rzymu. Właśnie przed kilku miesiącami odbyły się egzaminy i pierwszy zastęp odznaczonych udał się pod macierzyńską opieką pań katolickich do Wiecznego Miasta. Radościom, zachwytom, gorącym okrzykom zdziwienia na widok rzymskich cudowności nie było końca.

W niedzielę, 28 sierpnia, dzieci zostały zaprowadzone do Ojca św. Powtórzyła się ewangeliczna scena: „Pozwólcie dzieckom przyjść do mnie“... Mali pielgrzymi przynieśli z sobą sztandar swej organizacji, którego wyhaftowane godło przedstawia lilję i gałązkę dębu z napisem: „Czyści i silni“. Ojciec święty przechadzał się wśród dzieci, kładąc rękę na ich główkach, wypytując je o różne szczegóły życia i dając do pocałowania swój pierścień. Następnie, wszedłszy na stopnie tronu, przemówił do nich, wykładając w sposób jasny, przystępny i ujmujący, w słowach pełnych miłości ojcowskiej, program organizacji „Katolickich dzieci Włoch.“ Wyjaśniał, co to znaczy nazwa „dziecko ka-

nazwy i jak się trzeba starać, by być jej godnym. Pochwalił godło „Czyści i sil-



Ojciec św. Pius XI.

ni“. Mówił, że powinna im być obcą wszelka obawa wszelki strach z wiwatkiem

że nie wystarczą nazywać się katolikami, ale trzeba żyć po katolicku. W tym celu należą do tego pięknego związku, który jest ostatnią, ale najdelikatniejszą, najpiękniejszą, najwięcej obiecującą gałązką wielkiego drzewa Akcji Katolickiej. Ojciec św. cieszy się niewymownie, widząc, jak ta droga organizacja rozrasta się szybko, obejmując w ciągu dwu lat więcej niż 700 parafii i 110 000 (?) członków. Cieszy się, gdy czyta ich piękne pisemko „W górę!” rozchodzące się w 25.000 egzemplarzy.

Stanisław Rossowski.

Balon.

Bardzo skromniutkie pragnienie miała Dziewczynka grzeczna, dziewczynka mała,

Klocki ją nudzą, lalka ją nuży,
Radaby dostać balon a duży.

Więc prosi taty, więc prosi mamy...
Ci mówią: „Z chęcią na to ci damy”.

Śliczne pieniążki w rękach obraca!
— „Toż to balonik będzie, ach caca!”

Pójdzie z braciszkiem do miasta zaraz;
Niech z nią wybiera, bo to ambaras.

A wtem listonosz wchodzi: „Dla
dziatek”

Mówi i daje im „Mały Świątek”.

W dziewczynki oczach błyszczy
uciecha,

Braciszek także wraz się uśmiecha.

„Balonów zawsze jest podostatkiem,
Naprzód ucieszymy się „Małym Świątkiem”.

Bierze gazetkę i niby wryta
Siedzi i ciągle czyta i czyta.

Skończyła wreszcie, ale wesola
Minka gdzieś znikła, nie znać jej zgoła.

Z oczu, pogodnych przedtem wyziera
Jak gdyby żalność wielka a szczerą.

Idzie do taty dziewczę, do mamy:
— „Chcę coś powiedzieć” — „Powiedz!
Słuchamy”.

Stoi trwożliwa, czegoś się płoni;
Zakłopotanie widoczne po niej.

Za każdym słowem głoś jej utyka;
I... nie chce już balonika!

Pobłogosławiwszy sztandar, Papież powiedział, że najlepszym sposobem okazania Panu Jezusowi miłości swojej jest łączenie się z nim w Komunii św. Wszystkie dzieci, obecne na posłuchaniu, otrzymały na pamiątkę piękne medale. Wręczając je Ojciec św. dodał: „Zobaczycie, że na medalu jest obrazek, wyobrażający Dobrego Pasterza. Ponieważ Pan Jezus jest dla was Dobrym Pasterzem, bądźcie i wy jego kochanymi, wierdami — owieczkami”.

Ja... wyczytałam coś... w „Małym Świątku”.

„Ja wyczytałam, że są gdzieś dzieci,
Dla których szczęścia słońce nie świeci.

„Chore, ubogie, mieszkają w norze,
Czasem nie mają i zjeść co może.

„Ja wyczytałam, że dla nich trzeba
U stóp mieć zieleń, w górze blask nieba.

„Że na powietrze iść muszą świeże;
Inaczej wczesna śmierć je zabierze.

„W górach kolonje im urządzono;
Latem tam dziatwy zbiera się grono.

„Lecz na to trzeba wiele pieniędzy;
Wiele, o wiele — i jak najprędzej.

„A wyczytałam też, mnie się zdało,
Że kogo nie stać, niech da i mało.

I już podaje tam „Świątek Mały”,
Co dziewczyneczki różne przestały.

„Jabym też chciała od siebie, sama
Dać, co na balon dała mnie mama.

„Tylko czy mama, tylko czy tato,
Nie będzie może gniewał się za to?”

Czy się nie będzie gniewał? Mój
Boże!

Chyba tem silniej pokochać może.

Oto ją matka pieści i tuli,

Oto ją ojciec ściska najczulej.

Z dumą, z radością... Zgóry gdzieś
zasię

Przedziwna błogość spływać tu zda się.

Rzekłbyś z nagrodą w tej chwili gości

Wśród nich Bóg, co jest Bogiem litości.

Sławny wynalazca Tomasz Edison jest abstynentem.

Wielki ten i słynny na cały świat wynalazca urodził się w r. 1847 w Milan w Ameryce, jako syn ubogich rodziców. Od najrańszej młodości musiał zarabiać na kawałek chleba jako roznosiciel gazet, przyczem kształcił się sam. Za zarobione pieniądze urządził sobie laboratorium chemiczne i kupił małą drukarnię. Później otrzymał posadę w urzędzie telegraficznym. I właśnie na polu telegrafji i elektryczności miał się wślawić na cały świat zadziwiającymi wynalazkami. Udoskonalił on telegraft, wynalazł telefon, fonograft, gramofon, zarową lampę elektryczną, i wiele innych ważnych i pożytecznych dla ogółu rzeczy.

Edison żyje jeszcze w Ameryce koło Nowego Jorku i zajmuje się wynalazkami. W przeszłym roku obchodził 80-lecie urodzin.

Edison jest abstynentem i to już od wczesnej młodości.

Gdy się go raz pewnego zapytała jakaś pani, dla czego nie używa trunków, dał tę piękną i znamioną odpowiedź: „Pyta mnie pani, dlaczego nie piję? Otóż ważne mam bardzo zajęcia na głowie, nie mogę więc mózgu zatruwać alkoholem”, i dodał: „Zauważyłem sam na sobie, że głowa moja o wiele lepiej pracuje bez trunków alkoholowych!”

(Według książeczki ks. Janiszewskiego: I ty czyń także!)

Czy pamiętałeś zapisać i zapłacić „Mały Świątek” na I ćwierćrocze 1928?

Cena 75 gr. - Od 10 egz. począwszy tyłk o 50 gr kwartalnie za egz.



Michał — abstynent.

Michał nie pił wcale,

Wkrótce się zbogać.



Piotr — alkoholik.

Piotr zaś pijał stale,

Wkrótce wszystko stracił.

Marja Czeska-Maczyńska.

O csem gwarsy Stasiowi łósecsko.

Czy wiesz Stasiuniu, drogi chłopczyczku,
że słoma, w twoim małym sienniczku,
rosła na polu, żytniem łąny?
Błękitne nad nią były niebiosy,
pieściło słońce, kapała rosa,
śpiewały ptaszki, Panu nad Pany.
Wiatr ją kołysał, kwitły w niej kwiaty,
purpurne maki, modre bławaty.

Posłuchaj, może jeszcze zaszumi...
Może ci bajkę opowie we śnie,
może powtórzy wichrowe pieśni...
Posłuchaj, może jeszcze zaszumi...

A czy wiesz synku, twoje wezglowie,
może ci także bajkę opowie?
O tych gąseczkach, o tych bielutkich,
co je Marysia jakaś pasiała,
cienkim głosikiem piosnki śpiewała,
o tych gąseczkach swoich tłuściutkich.
Może ci szepnie twoja poduszka,
jaką dziwną bajkę do uszka...

Może zagwarzy ci o strumieniu,
co białe piórka gąseczkom płukał,
płynął i drogi do morza szukał,
posłuchaj, powie ci o strumieniu...

Może i kołdra wie jaką bajkę?
O starym bacy, co kurzył fajkę
i hań, na hali, pasał baranki...
Może ci powie, wieczorną dołą,
gdy cię całego skryje pod sobą,
jakie po graniach są macierzanki,
jak pachną w słońcu trawy rosiste,
powietrze bywa wonne, przeczyste.

Może ci powie jeszcze na uszko,
jak stary bacy, fajkę zakurzył
i wszystkie góry, docna zachmurzył...
Posłuchaj, może powie na uszko...

Co? Nie śpisz jeszcze?

Powłóczki białe,
pragną też gwarzyć, jeno niesmiałe,
o tym lninie, co go z wiosną zasiali,
jak go ścinali, jak go moczyli,
jak go czesali, jak go mendlili,
jak go z paździerzy na wietrze wiali.
A potem babka, tam, u komina,
nitkę wysnuła jak pajęczyna.

Może ci powie niteczka cienka,
jak to się babce wrzeczono wiło,
jak ją tkacz utkał, słońce zbielało...
Posłuchaj, powie niteczka cienka...

W końcu, łóseczko twoje dębowe,
wspomina z żalem cichą dąbrowę,
jak rosło dębem w słonecznym blasku,
koroną dumną niebios sięgało,
z burzą walczyło, z wiatrem igrało.
W konarach kryło ptaszki kapele,
co mu nuciła życia wesele.

Może ci powie jeszcze łóseczko
o tej wiewiórcy, w dziupli mieszkała
i tak radośnie skakać umiała.
Posłuchaj, powie jeszcze łóseczko.

A nad łóseczkiem, Mateńka Boska,
tak się o twoją duszyczkę troska
i też ci gwarzy, ale o niebie.
O tej dalekiej, dziwnej krainie,
którą poznamy, gdy życie minie,
gdy nas Bóg-Ojciec wezwie do siebie.
Z obawą myśli Mateczka święta,
czy synuś dobrą drogę spamięta.

Ach i powtarza, patrząc z obrazka,
bądź dobrym, kochaj, kochaj bez miary,
lękaj się złego a nie ofiary.
To ci powtarza, patrząc z obrazka.

Wisława.

Zwyczaje noworoczne.

Pan Anzelm Z. i jego żona bardzo się ucieszyli, gdy wszedłszy w noworoczny ranek do pokoju stołowego, ujrzeni na zastanym białym obrusem stole — wielki bochen chleba.

— No, proszę! — dziwił się starszek. — Któż to, panie dzieju, położył na naszym stole staropolskim obyczajem, ten znak obfitości darów bożych, ażeby nie schodziły one u nas przez cały rok?

— Zrobiła to z pewnością nasza służąca. Przekonamy się o tem, jak tylko Julka powróci z kościoła... — twierdziła pani domu, podając śniadanie.

Nie zdążyli jeszcze staruszkowie wypić doskonałej kawusi, gdy dzwonek w przedpokoju oznajmił gości.

— Oho, przyszli kołędnicy noworoczni! — rzekł pan Anzelm, ocierając serwetą, długie, siwe wąsy, a pani Anzelmowa spieszyła już do drzwi.

Do pokoju wbiegła gromadka dzieci, mieszkających w sąsiednich domach. I podczas gdy dwoje najmłodszych zaczęły z uroczystą miną sypać dokoła stołu w jadalni ziarna owsa — najstarszy z przybyszów, dwunastoletni Franek, syn sklepiczarki, uklonił się nisko przed panem Anzelmem i wręczając mu ogromne powinszowanie, jął deklamować z udaną powagą:

...Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Każ spichrze otworzyć i miechy naspórzyć,
Żyta ze trzy wozy i woły z obory,
Hej kołęda, kołęda!

Nie zdołał chłopak dokończyć nalezycie ostatnich słów, gdy Mania, córka stolarza, dygnawszy przed panią Anzelmową, podjęła piskliwym głosikiem:

...Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać masła łaskę,
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera,
Hej kołęda, kołęda!

— No, proszę, panie dzieju! — cieszył się starszek. — Nasi najmłodszy są siedzi przemienili się oto w

dawnych żaków (uczniów) szkolnych, którzy obchodzili w dniu noworocznym domy swoich karmicieli, a winszując im nowego latka, starali się zaśpiewać coś takiego, ażeby pobudzić ich do wesołości i hojności zarazem. Rad-bym, panie dzieju, wiedzieć, kto was też o tym zwyczaju pouczył, smyki?

Ale wszystkie smyki milczeli, tylko usta drżały niektórym z nich podejrzenie.

Pani Anzelmowa przejęła się smac bardzo treścią otrzymanego powinszowania, gdyż stół w jadalni zapełnił się, jakby pod dotknięciem różdżki czarodziej-skiej — kiełbasą, kołaczem, piernikami i innymi łakociami. A była tego wszystkiego taka obfitość, że mali kołędnicy zdołali spałaszować zaledwie połowę tych darów, zaś drugą połowę zebrali ze sobą, odchodząc.

W kilka minut po odejściu dziatwy, wszczął się w sionce tuż pod drzwiami mieszkania staruszków, hałaśliwy rozgardjasz: przebijały w nim tony skrzy-piec, ryk zwierzęcy, prostackie słowa, wy-zwiska...

Zaciekawiony tem pan Anzelm obrócił bezwiednie klucz w zamku.

Ze skoczną muzyczką wpadł do mieszkania stary żyd o długich pejsach, zanim dziad — obdartus z ogromną kobiałką, za nim cygan jakiś ciągnął na postonku mruczącego niedźwiadka. Zwierzę miało, rzecz dziwna — nogi, podobne do ludzkich i zaczęto popisować się na poczekaniu uciesznymi płasami.

Pan Anzelm aż się zanosił od serdecznej wesołości na widok tak niezwykłych gratulantów. Śmiała się również i pani Anzelmowa, zastawiając stół świeżymi zapasami.

Lecz kołędnicy tak się spieszyli w dalszą drogę, że do uczyty nie zasiedli. Przeznaczone dla nich dary zniknęły w kobiałce dziada i w plecaku cygana. Oni sami podziękowali pięknie za kołędę i zniknęli za drzwiami, jak widziadła senne.

Najpiękniejszą książką dla dzieci es

„Mały Świątek“ rocznik 1927 w ozdobnej oprawie

Cena już z przesyłką 4 zł. Wysyła na żądanie

Drukarnia „Ostoja“ Poznań, ul. Pocztowa 15.

Gazetka dla Ministrantów.

Służba boża.



Ministranci moi! Czy wiecie, co właściwie oznacza słowo: „ministrant”? *Ministrare* znaczy po łacinie „służyć, pełnić służbę”. Czytamy w Piśmie św., w Księdze psalmów: „Angeli ministrabant Ei” „Aniołowie służyli Mu”. Ministrant znaczy zatem „sługa”, sługa ołtarza, a że na ołtarzu Bóg zstępuje we mszy św., — więc sługa Boży.

Byłem chłopcem może dziesięcioletnim, gdy śnił mi się przeszły sen. Śniło mi się, że modłę się w kościele pięknym, o wysokich sklepieniach. Nagle ściana się otwiera i wychodzi Pan Jezus, w ornat ubrany, ze Mszą św., przed Nim postępują dwaj aniołowie jako ministranci, idą wszyscy Trzej do ołtarza głównego i tam — widzenie znika. Obudziłem się wzruszony, płacząc rzewnie. Był to tylko sen, sen uroczy, niezapomniany do dziś. Ale Chłopcy moi, którzy macie to szczęście, służyć do Mszy św., pomnijcie na świętość służby Waszej, i naśladujcie aniołów, otaczających choć niewidzialnie, ołtarze Pańskie. Pamiętajcie, że Bogu samemu służycie, wszechmocnemu i wiekuistemu Panu zastępowy anielskich. W Starym Testamencie tylko arcy-

kapłanowi i to tylko raz do roku było wolno przystąpić do arki przymierza a Wy, Chłopcy codziennie przystępujecie do stopni ołtarza, będącego tronem Boga, utajonego w Najświętszym Sakramencie. To też czyste i anielskie powinny być serca Wasze, ministranci a zachowanie Wasze przy ołtarzu i wogóle w kościele, prawdziwie pobożne i przykładne, by wierni z Was wzór brać mogli.

A w rzeczywistości, jakże często, niestety, jest zupełnie inaczej! Zdarza się, że ministranci nie umieją ministrantury, nie odpowiadają kapłanowi wyraźnie, tylko klepią coś, byle jak najprędzej, rozglądają się po kościele, gapią na ludzi, rozmawiają, kłóca, ba, nawet, o zgrozo, bączą się. I to ma być: *służba Boża*? Czyż Pan Jezus na takich występnym ministrantów nie weźmie powroza i nie wypędzi z kościoła, napominając, że „Dom mój, dom modlitwy jest a wyście go uczynili — jaskinią zbójców”. Czyż Wam jeszcze przytoczyć, Chłopcy, co mi opowiadał pewien b. kapelan więzienny! że ... (przykro i trudno to powtórzyć) że w owym domu karnym znajdowało się dużo byłych ministrantów...

O Chłopcy moi, Ministranci drodzy, może dużo z Was pobożnie urząd swój sprawuje, chwala im, ale przestrzegam niedbałych i lekkoduchów, by nie lekceważyli sobie swej służby szcżytnej i świętej, bo potem łatwoby zesłani na złą i występłą drogę w życiu i zgótowaliby sobie nieszczęście doczesne i wieczne.

A o dobrych ministrantach swoich mówi Pan Jezus: „Jeśli mi kto będzie służył, uczci go Ojciec mój”. (Jan XII, 26).



Msza małego Molumba, czarnego ministranta.

Opowiadanie Ojca Verret, misjonarza z Wikariatu Apostolskiego Nowej Antwerpii.

(Dokończenie.)

Kilka dni minęło. W piątek wieczór, za ledwie położyłem się na spoczynek, zapukano do moich drzwi. — „Ojcie, to od Molumba, czuje się niedobrze i pragnie cię widzieć”. Wstałem i udałem się do chaty dzieci, uczęszczających do szkoły. Nie sądziłem dotąd, by śmierć Molumba była bliską, ale teraz przypomniały mi się słowa jednego z uczniów, powiedziane do kolegów: „Molumba nie służy już do mszy... nie pożyje on już długo”.

Chory chłopczyk leżał na macie słomianej; jego wychudzona twarzyczka rozpalona była gorączką, oddech krótki i szybki, a serce za ledwie słabo biło.

„Jak się miewasz, mój Honorciu?”

„Ojcie, powiedział, rozważyłem to dobrze... widzę teraz jasno, że nie mam co myśleć o zostaniu księdzem; byłoby to nadto pięknem dla biedaka chorego jak ja... W ostatnich czasach nawet służyć do mszy nie umiałem jak się należy. Bywałem często nieuważnym, ale nie namyślnie, i P. Bóg nie będzie się za to na mnie gniewał, nieprawdaż Ojcie? Nieraz tak bardzo mię bolało, tu... i tu...” (wskazał na głowę i serce).

„Dziecko moje, niech cię to nie trwoży, nie myśl o tem wszystkim. Czyż Bóg nie jest prawdziwym Ojcem, i to Ojcem kochającym? Jesteś chory, bardzo chory. Gdyby Pan Jezus chciał przyjść teraz po ciebie, by cię wziąć do nieba, czybyś odmówił?”

„Ach, nie... ale nie zawsze byłem grzeszny... Ojcie, czy nie byłbyś tak dobry mię wyspowiadać?”

Chore dziecko wyspowiadało się.

Boże mój, jakimże zbudowaniem dla kapłana są wyznania niektórych dusz! Słyszałem potem, jak pobożnie się modlił: „O mój Jezus! Wierzę w Ciebie mocno, kocham Cię i zgadzam się na śmierć, dla Twojej miłości Marjo, dzieckiem Twojem jestem, dopomóż mi!” Wkrótce potem zamilkł i zdawało się, że drzemał, oddaliłem się przeto spokojnie.

Nazajutrz podczas mszy św. prosiłem Pana Jezusa o udzielenie mi takiej żywej wiary i miłości, jakie podziwiałem w tem biednym czarnym dziecku. Zaraz potem zanosłem mu św. Wjatyk. Było to wczoraj, w sobotę, w mglisty, pochmurny poranek. Czarni mężczyźni i kobiety, idący do kościoła, klękali i pochyłali się głęboko przed Przen. Hostją. Przed chatką Molumba kilku jego kolegów było zebranych; uderzył mnie poważny nastrój tych dzieci.

Udzieliłem najprzód ostatniego namaszczenia Olejem św., błagając Pana o przebaczenie, za wszelkie nadużycia, dopełnione wzrokiem słu-

Z jakąż miłością musiał się P. Jezus połączyć z duszą tak dobrze przygotowaną. Odniosłem puszkę z Przen. Sakramentem do kościoła i wróciłem do umierającego. Dziecko pozostawało wciąż nieruchome, z oczyma zamkniętymi, z uśmiechem na twarzy. Krople potu występowały na całym ciele, błyszczały na czole, na policzkach, na rękach... Wargi poruszały się lekko, jakby w modlitwie. Całe grono chłopczyków otaczało nas na klęczkach modląc się pocichu. Nagle uśmiech znikł z twarzy Honorata, która przybrała wyraz bardzo poważny „Tobanda”, (rozpoczynajmy) wyrzekł słabym głosem. Przeżegnał się i podniósł ręce do szyi, tak jak ksiądz gdy przywdziewa humerał. Oczy miał zamknięte, ale usta się modliły, a ręce naśladowały jedne po drugich ruchy kapłana, przywdziewającego szaty liturgiczne. Czego on chciał? O czem myślał? Czy wśród konania, mój mały ministrant oddawał się marzeniu, od tak dawna żywionemu? Czy w chwili, gdy miał opuścić ziemię, by wstąpić do radości niebieskich, zdawało mu się, iż dostąpił upragnionego szczęścia i jest kapłanem?

Uczynił znowu wielki znak krzyża św. i wyszeptał wyraźnie po łacinie, jak kapłan u stóp ołtarza: „*In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti, Amen. Introibo ad altare Dei*”. (W imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen. Wniędę do ołtarza Bożego). Żaden z nas się nie poruszył. Chory poczekał chwilę, nie otwierając oczu i zdawał się nadśłuchiwać. Potem zupełnie tak, jak ja w ostatnich dniach nieraz mu mówić musiałem: „Odpowiedz że przecież”, rzekł. Wtedy żeby mu nie robić przykrości, Siostra, ja i dzieci za nami stojące, odpowiedzieliśmy: „*Ad Deum, qui laetificat juventutem meam*”. (Do Boga który uwesela młodzież moją.)

Rysy Molumba wypogodziły się i mówił dalej: „*Judica me Deus et discerne causam meam*”. (Osądź mnie Boże, a rozeczaj sprawę moją.) Cały psalm przepowiedział, następnie *Confiteor, Misereatur i Indulgentiam*, wszystko mówił bez przerwy, wolno i wyraźnie. Odpowiadaliśmy machinalnie. „*Oremus*” (módlmy się) rzekł mały kapłan, rozkładając ręce, potem „*Kyrie eleison, Christe eleison, Kyrie eleison*, i podnosząc ręce w górę: „*Gloria in excelsis Deo*”. Dziecko odmówiło całe *Gloria* bez żadnej pomyłki.

Dominus vobiscum... oremus! (powtórzył giesł rękami) potem: „*Deus, qui nobis sub sacramento mirabili*”... (Boże, który nam w tym przedziwnym Sakramencie...) całą modlitwę ze mszy o Przen. Sakramencie. Po długiej pauzie nagle: „*Credo in unum Deum*” (Wierzę w Boga jedynego). Następowały giesty, naśladujące ofiarowanie chleba i wina na patenie i kielichu, poczem jakby ręce umywał i wymówił wyraźnie: „*Orate fratres*” (módlcie się, bracia). Wszystkie ceremonie mszy św. dokładnie i z wielką powagą.

Dziecko stawało się coraz słabszem. Obfity pot spływał wolno po czole i po policzkach. Mówił dalej: „*Per omnia saecula saeculorum. — Amen — Dominus vobiscum. — Sursum corda*” (przez wszystkie wieki wieków Amen. Pan z wami. W górę serca.) I cała prefacja została wygłoszona. Po *Sanctus* mały celebrujący umilkł na chwilę; wargi poruszały się nieco... Wkrótce znów rozpoczął: „*Memento etiam famulorum famularumque tuarum*...” (Pamiętaj, Panie, na sługi i służebnice twoje) a potem mówił dalej w swym ojczyznym języku: O mój Jezu, proszę cię za Ojcami, a zwłaszcza za Ojcem Adolfem, byś ich wynagrodził za to, co dobrego dla nas czynią... i za Siostrami, które są tak miłosierne... i za wszystkimi dziećmi szkolnymi, a w szczególności za X... i za X... i za mnie, bym mógł zawsze być z Tobą... i za poganami...”

Zakonnica szlochała. I mnie również łzy płynęły z oczu, mimo wysiłku, by opanować wzruszenie. Na podniesienie dziecko już nie miało sił, by wysoko podnieść ręce, lecz co za wyraz czci i uwielbienia na tej małej biednej twarzyczce!

Potem przez kilka minut pozostał nieruchomy, oddech stawał się coraz rzadszy. Jednakowoż słyszeliśmy, jak szeptał *Pater noster* (Ojciec nasz, któryś jest w niebie). A zaraz potem: „*Domine non sum dignus*” (Panie, nie jestem godzien), uderzając się lekkim ruchem palców trzy razy w piersi.

Wtedy ręka umierającego dziecka podniosła się wolno, z wielkim trudem aż do ust, jakby w nich złożyć miała Hostję. Poczem mały kapłan złożył ręce na piersiach i nie poruszył się więcej...

Chciałbym móc wam opisać wyraz szczęścia, jaki wtedy przybrała uśmiechnięta, niewinna twarzyczka Molumba. Pozostaliśmy długo nieruchomi, milczący, oczekując końca tej przejmującej sceny. Ale twarz nie zmieniała się już więcej: uśmiech zdawał się na zawsze być na niej

wyrytym. Pomacałem ciało, było prawie zimne, puls nie bił już całkiem i oddech ustał zupełnie. Mój mały ministrant już nie żył.

Modlitwa jego, przerwana na ziemi, kończyła się w niebie. Dusza jego oglądała teraz piękność wieki, a my płakaliśmy nad ostygniętymi zwłokami małego „Czarnego”. Było to w sobotę w wilgę Zielonych Świąt.

Na drodze z długich liści palmowych spływała rosa; tam wysoko słońce przebijało zwycięsko poranne mgły. Gdy wieczorem powietrze się ochłodziło, powróciliśmy do biednej chatki, by zabrać ciało Molumba. Wszystkie dzieci towarzyszyły mu do kościoła, gdzie zostało pokropione, poczem zanieśliśmy je na cmentarz. I mogę was zapewnić, że szczerzej i goręcej płynęły łzy nad tym biednym dwunastoletnim chłopczkiem, który żył i umarł zupełnie nieznanym ludziom, aniżeli nad wielkimi tego świata. Zasadziliśmy lilje na jego grobie i mały krzyżyk z jego imieniem.

Honorat Molumba, umarł 7. 6. 1924.

W dzień Zielonych Świąt, odprawiłem mszę św. za duszę mojego małego ministranta. Odprawiłem ją przed tym samym ołtarzem, „jego ołtarzem”, ten sam towarzysz Molumba służył mi, ale jego już nie było płaczącego za kolumną. Dusza jego wydawała mi się jednak bliska; widziałam mnie, jestem tego pewny i zwróciłem się do niej z prośbą: „Drogi mój Honoracie, oto stałeś się teraz Aniołem przed tronem Boga, prosz Pana, by raczył uczynić mnie świętym kapłanem i gorliwym misjonarzem”.

Dziwicie się może, tam w Europie, że ciemne lasy afrykańskie wydają podobne kwiatki? Przypomnijcie sobie modlitwę Jezusową: „Wyznam Tobie, Ojcze, Panie nieba i ziemi, żeś te rzeczy zakrył przed mądrymi i rozroputnymi, a objawiłeś je małutkim”. (Mat. XI, 25).

(Różę św. Teresy od Dziec. J.)

Kącik Misyjny.

Tł. z fr. P. W.

Mali mularze.

Budowano właśnie wielki kościół w Zi-kawei. Do budowania kościoła potrzeba mularzy, a mularze potrzebują pomocników, małych mularczyków.

Ledwie małe skończy 8 lat, ledwie może udźwignąć 3 lub 4 cegły oparte o wątle piersi, już go w Chinach zaprzęgają do ciężkiej pracy. Albo też czasem widuje się chłopczyków małych noszących na ramieniu w małym wiaderczku wapno. Przedsiębiorca budowlany wynajmuje tych małych pomocników za strawę i odzież. Jakże często te dzieci są popychane, bite, jak źle się z niemi obchodzą, a ileż na każdym kroku grozi im niebezpieczeństw.

W niedzielę zamykają ich na cały dzień w obrębie wznoszonej budowli, lub wolno im bawić się na ulicy.

Pewnej niedzieli Ojciec obiecał malcom, że tych, którzy będą chcieli zabierze i będą się bawić. Wkrótce zebrała się gromadka 15 chłopców przy świecie obutych nawet i ubranych wprawdzie, ale bardzo ubogo.

Ten ruchliwy, mały świątek krzychał mocno, ale były to okrzyki zadowolenia. Ojciec zaprowadził ich do sierocińca w Tou-se-we. Przechodząc przez podwórce mali poganie robili ze zdziwienia wielkie oczy przyglądając się sierotom w sierocińcu świętego Dzieciństwa, które są takie zadowolone i szczęśliwe i które wcale nie znają głodu i nędzy małych włóczęgów.

Ojciec z chłopcami minęli podwórze i poszli bawić się opodal.

W co się będziemy bawić? W gonitwę! Biegają, biegają wszyscy razem, tak, jak pierw krzyczano, duzi, średni, mali, bo w tej małej bandzie znajdują się chłopcy od lat 8 — 15.

Nabawiwszy się do woli, nabrali do Ojca zaufanie i przyszli wyluszczyć swą prośbę. Proszę Ojca, jednego naszego towarzysza zatrzymali żołnierze-policjanci i skrepowanego zabrali ze sobą, pewnie go zamkną w więzieniu i obiją mocno. Bardzo prosimy, niech go Ojciec uwolni!

Hm! Ładna sprawa z policją zadzierać!

Ojciec począł rozpytywać o co to poszło i dowiedział się, że wybuchła kłótnia między chłopcem zatrzymanym a Chińczykiem niosącym jednoosobową lektkę (nosze z siedzeniem do przenoszenia ludzi) nazwaną pus-pus.

To nic niebezpiecznego, pomyślał Ojciec i otoczony gromadą małych mularczyków udał się na posterunek policyjny. Stało tam 10 żołnierzy i mały mularczyk-winowajca, warkoczem własnym przywiązany do słupa. Chłopcy z szacunkiem spoglądali na tę władzę wyższą, a Ojciec począł im mówić, że nie powinni zachowywać się na ulicy jak łobuzi.

przyrzekli starszemu posterunkowemu, że odtąd będą zachowywać się beznaannie. Chłopcy skruszeni spełnili żądanie Ojca, a wówczas posterunkowy wspaniałomyślnie oświadczył, że wobec tego, więźnia wypuści. Odwiązano warkocz i mały mularczyk został uwolniony. Po serdecznym podziękowaniu zabrano winowajcę, a chłopcy tak mu się badawczo od stóp do głowy przyglądali, jakby się chcieli przekonać, czy jest cały, czy nie brak kawałka?

W ten sposób Ojcowie zawierają znajomość z mularczykami. Po trochu próbują ich uczyć, oświecać, potem pokazują obrazy z historii świętej. Najwięcej im się podoba obraz przedstawiający szczęście w niebie, do którego dążyć trzeba wszelkimi siłami, jeżeli chce się tam kiedyś zamieszkać, a przeraża ich piekło z brzydkimi djabłami, których nadewszystko wystręgać się należy, bo piekło takie straszne. Biedni mały mularze. Polećcie ich Panu Bogu!

Składajcie na misję!

Dzieło Dzieciństwa Pana Jezusa w Zblewie

Nowy Cis 20. 1. 28.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
Wielebny Księżę Redaktorze!*

U nas w Zblewie zostało założone Dzieło św. Dzieciństwa Pana Jezusa dopiero w zeszłym roku. Kierownikiem naszym jest ks. Bolesław Knitter, Mamy przeszło 20 seryj członków, należących do Stowarzyszenia (t. zn. przeszło 360 małych misjonarzy, jak to Dziecię Jezus się cieszy! Dop. ks. red.) W lecie mieliśmy zebrań w salce parafjalnej, teraz zimą odbywają się w szkole. Odmawiamy codziennie jedno „Zdrowaś Marjo... i Najświętsza Panno Marjo, módl się za nami i za biednymi dziećmi pogańskimi!”. Chętnie czytamy „Mały Świątek”

Pozdrawiam Księdza Redatora!

Elżbieta Maniówna.

Pozdrawiam Ciebie i wszystkie dzieci z dzieciństwa czcigodnego Ks. Kierownika i piękną Waszą wioskę z wysokim kościołem, który nieraz odwiedzałem w latach 1908—1910 jako wikary w sąsiednim Lubichowie. *Niech wam Bóg błogosławi, miłosierne Dzieci!*

Zebrań Dzieła św. Dzieciństwa Pana Jezusa, odbyło się w drugie święto Bożego Narodzenia w kościele przy żłóbku w Nawrze.

Na początek zaśpiewały dzieci dwie zwrotki „W żłobie leży”. Potem Ks. prob. rozdał zela-torom Roczniki Dzieła św. Dzieciństwa Pana Jezusa i karty wpisowe na rok 1928. — Na zapytanie Ks. dyr. jakie obowiązki mają członkowie Dzieła św. Dz. P. J., dzieci dały zadawalającą odpowiedź. Zaraz też wspólnie odmówiły Zdrowaś Marja za dzieci pogańskie

Na murzynków!



Oszczędnością,

i pracą —

ludzie

sie bogacą!

Na sieroty!

Do Skarbanki

grosze

składajcie

dości gdy misjonarze wykupują je z niewoli za pieniądze białych dzieci, chrzą i wychowują po katolicku w zakładach misyjnych. Tak jak z małych strumyków powstaje wielka rzeka, tak z drobnych lecz licznych ofiar powstaje wielka suma, za którą wykupiono już 26 milionów dzieci pogańskich, utrzymuje się 12 tysięcy szkół i 3 tysiące sierocińców. — Od dzieci niemiecko-katolickich wpływa najwięcej ofiar, bo aż 4 miliony franków rocznie. Niechże dzieci polskie je prześcigną. Po przemówieniu Ks. proboszcza dzieci odmówiły litanję i ofiarowanie się Dzieciątka Jezus. — Dalej Ks. prob. udzielił dzieciom błogosławieństwa. Pieśnią „Dzisiaj w Betleem” zebranie zamknęło. *Woźniakówna.*

O paleniu tytoniu

— W dzieciennych latach zły towarzysz nauczył mnie palenia tytoniu, aby mieć tytoń odemnie bezpłatnie... Objawy zatrucia ostrego, pewnego razu dostrzegła moja zająca s. p. matka i upomniała mnie po macierzyńsku. Dałem jej wówczas słowo (miałem około lat 10), że nigdy palić nie będę i — dotrzymałem. Dziś właśnie skończyłem lat 50 i słowo dane matce dotrzymam do śmierci.

(Dr. K. Zaleski: życie bez tytoniu. — Ks. Makłowicz: Przykłady ojcyste do nauki katechizmu).

Marja Reutt.

Żołnierzyki.

Było to w czasie wojny światowej. Dziewięcioletni Janek Ogórek pasł krowy. Dnia tego jakoś było spokojnie. Upał był straszny i krowy nigdzie iść nie chciały. Pasły się pod drzewami spokojnie, nie zwracały nawet uwagi na to, że w pobliżu gdzieś grzechotały karabiny.

A może si ę już z tem oswoiły. Bo i Janek już na to uwagi nie zwraca i Antek i Józek również nie wiele sobie z tego strzelania robią. Zośka się tylko boi, ale głośno do tego się nie przyznaje, śmieliby się z niej i możeby paść razem z niemi nie mogła.

A coby ona wtedy robiła, jeszcze więcej by się bała. A tak siedzą tu wszyscy, pod drzewami i zagryzają chleb z serem. A karabiny wciąż swoje: ta-ta-ta-ta. Zupełnie jakby kto grochem sypał po ścianie — Pójdę się wody napić — rzekł Janek wstając.

— I ja pójdę — zawołał Antek.

— I ja z wami — rzekł Józek.

— A krowy? — zapytała Zośka.

Ty ich przypilnuj — odrzekł Janek — my ci tu wody przyniesiemy.

Dziewczynka chciała coś mówić, ale chłopcy już pobiegli. Szczęściem Łyska została z nią. Z taką psiną niema się czego obawiać. — Chłopcy pobiegli w głąb lasu, gdzie z pod kamieni sączył mały strumyczek. Naipili się sami, po dwa kubki wychylili z innej źródlanej wody, zacerpnęli kubek dla Zośki i już mieli wracać. Naraz Janek podniósł rękę do góry.

— Co nie mamy słyszeć — odrzekł Józek — przecie to niedaleko.

— Tak, ot tam, za temi sosnami, zaraz pole i okopy — mówił Antek.

— Tam legioniści siedzą, jak im tam gorąco być musi — rzekł Józek.

— I pić im się chce pewno — odparł Antek. — Jak tu u nas był raz legionista, to mówił, że strach, jak oni nieraz cierpią bez wody.

— A to czemu si ę nie napiją? — zapytał Janek.

— Dobryś sobie, nie mogą wyjść z okopu, bo strzelać trzeba — odrzekł Józek — bronić się muszą przecie.

— Oni nie siebie samych bronią — zawołał Antek — ale i nas wszystkich, pamiętacie jak to opowiadał ten żołnierz w niedzielę, że się oni za Polskę i jej wolność biją.

— Słuchajcie — zawołał naraz Janek — zanieśmy im wody po kubku.

— Dobrze, dobrze — zawołał tamci dwaj.

Zapomnieli o krowach i Zośce, zacerpnęli wody w kubki i poszli. Kawał to był drogi, conajmniej z pół kilometra, ale chłopcy biegać umieli. Na samym końcu lasu zaczynały się okopy.

— Połóżmy się na ziemi — rzekł Janek — i na brzuchu pełnijmy, to kule przelecą nad naszymi głowami, a pilnujcie wody, by się nie rozlała. I powoli zrzęcznie, jak wąż sunął naprzód.

— Uf, jakże strasznie piecze słońce — szepnął legionista, krecąc korbe od kara-

— Akurat poda ci ją kto — zaśmiał się drugi — spodziewaj się.

— Za to podadzą ci cłowiu — mówił trzeci.

Wtem coś zaszeleściło za nimi.

— A toż co znowu? — zawołał spragniony żołnierz, widząc wsuwającego się Janka.

— Dzieci tu nie wolno pociście tu przyszli. Idźcie stąd!

— Wody wam przynieśliśmy panie wojaku — odrzekł Janek, podając mu napój. Tamten już o nic nie pytał, chwycił kubek i pił chciwie, w tej chwili wsunęli się do okopu Józek i Antek.

— Kto was tu przysłał chłopcy? — pytali żołnierze.

— Nikt — odrzekł Janek — samiśmy przyszli do was i wodę wam przynieśli.

— A nie baliście się kul przecie mogły was zabić.

Wisława.

Co mówił kotek?

*...Wlazł kotek na płatek i mruğa,
Będzie to rozmówka nie długa!*

Czy zgadnicie, dzieci, o co się wazszemu ulubieńcowi rozchodzi? Oto chciałby was dzisiaj pouczyć, jak należy go pielęgnować. A więc słuchajcie:

— Jeżeli chcecie, o czym nie wątpię — ażeby było mi u was dobrze, to wyscielcie, proszę, moje poślanie świeżem sianem, ponieważ strasznie lubię jego zapach. Sianko to trzeba naturalnie, od czasu do czasu, zmieniać.

A jak się ożenię i będę miał kocięta, to zapamiętajcie sobie zawczasu, że takie maleństwa powinny przez dwa miesiące ssać pierś matczyną. Gdyby to było jednak niemożliwe, wtedy dawajcie im, dzieci, 3—4 razy dziennie mleko, rozpuszczone w pierwszych dniach pół-na-pół z przegotowaną i ostudzoną wodą. Później dodaje się wody coraz mniej, aż kocięta przejdą stopniowo do czystego mleka. Nie zapomnijcie dodawać im troszkę cukru, a bardzo chętnie jedzą one ugotowane na miękko jajka.

Ja zacząłem już trzeci miesiąc

Chłopcy wzruszyli ramionami.

— Ten Rus to wcale strzelać nie umie — mówił Józek — nas jego kule nie trafia.

— Bo one idą górą, a my pełzać umiemy.

— Ale kto wam powiedział, byście tu przyszli? kto mówił, że pić chcemy?

Janek śmiał się.

— My sami wiedzieli, że się wam pić chce i że wam stąd wyjść nie wolno, bo wy Polski bronicie, to my wodę przynieśli i dziś i jutro i zawsze wam służyć będziemy.

— Żuchy chłopcy — zawołał żołnierz — toż i wy Polskę bronicie, skoro o jej obrońcach pamiętacie. Żołnierzykami jej jesteście.

— Słyszta chłopcy — mówił Janek, wracając z towarzyszami przez las — to my już teraz żołnierze, pamiętajcie, że trzeba zawsze wojakom Polski pomagać.

męczyły mnie one zanadto; bo, jak mi już będzie tego dobrego za wiele, to albo ucieknę, albo podrapię je boleśnie ostremi pazurkami. Nawet pies, mój śmiertelny wróg, niewiele mi może zrobić. Bo w razie jego napaści — schronię się czempredziej na najbliższe drzewo, bądź też czmychnę po rynnie na jakiś dach i już! Powinniście, dzieci, bardzo mi dogadzać, gdyż im lepiej mi u was będzie, tem pilniej będę tępił w waszym domu myszy i szczury.

Tyle powiedział wam kotek o sobie. A ja dodam jeszcze parę szczegółów, o których Burek nie lubi wspominać.

Przyzwyczajcie, dzieci, waszego ulubieńca zawczasu, (nieraz nawet przy po-

mocy różeczki) do przestrzegania porządku, ażeby nie zanieczyszczał mieszkania.

Jeśli jest w domu kanarek, trzeba bardzo na niego uważać, bo koty, wiadomo — lubią dusić wszelkie małe ptaszki. Łakomią się one także na złote, lub inne drobne rybki, pływające w pokojowym „akwarjum”. Kotek przesypia większą część dnia zwinięty w kłębuszek, z nadzieją zaś nocy, (kiedy to widzi on doskonale), urządza swoje szkodliwe nieraz polowania.

A już nie wolno stanowczo całować kotów, nie trzymać ich nocą w sypialni, nie sypiać, broń Boże, z niemi! Możecie bowiem dzieci, łatwo z tego chorować, a zwłaszcza na oczy.

Maryla Czerkawska.

KOCIO.

Nazywał się Kocio
Choć duży był kot
I chodził po dachach
I skakał na płot.
Po drzewach się drapał
I na dół i w wwyż —
I łowił co dopadł
Czy szczura czy mysz.
Na pyszczku bielutki,
Na grzbiecie był pstry —
Miał ząbki drobniutkie
I duże dwa kły.
Ciekawy — we wszystko
Chciał wetknąć swój nos —
Łakomy — wypijał
Tu mleko, tam sos.
Zdawało się czasem
Że kocio nasz śpi
A on jest w spiżarni
Ledwie skrzypną drzwi.
Już nadgryzł mięsiwa —
Już śmietankę spił —
Och bardzo łakomy
Biedny kocio był.
Raz łapka na myszy
Schwyła mu wąs —
Raz pyszczek zanurzył
W soku ciepły pons.
Raz chodząc po garnakach

W miszkę barszczu wpadł
Z jakimże się wstydem
Wtedy w kącie skrył,
Barszcz kwaśny zlizywał
Cesał się i mył.
A dzieci doń mówią:
Dość figłów i psot —
O któż to je robi
Duży, mądry kot.
Paluszkami mu grożą
Anielka i Wit
Janek w ucho szepce:
Brzydko kocciu — — wstydy.
Jeżeli z łakomstwa
Nie wyleczysz się
Wara od Witusia,
Anielci i mnie.
Nie szukaj łakotek,
Jeśli trzeba pość — —
Masz zawsze chleb, mleko — —
Nie dość ci — nie dość?
Kocio oczy spuścił —
Jest mu bardzo źle —
I miauczy ze skruchą
Poprawić się chce.
Wasze dobre rady
Zrozumiałem w lot —
I od dziś żyć zacznę
Jak porządny kot.

Zabawki naukowe i gry towarzyskie

podawane przez Fr. Barańskiego.

Nadzwyczaj zajmującą rozrywką jest przedstawianie cieniów sławnych osób, czyli tak zwanych portretów cieniowych.

W ten sposób wywołujemy cienie tych bohaterów jakoby z za grobu i stawiamy je przed waszymi oczyma, by wam ich rysy uprzytomnić. Ażebyście podanych przez „Mały Światek” wzorów nie zniszczyli, dobrze byłoby, ażebyście je sobie przerysowali na innym białym papierze i dopiero tych odbitek użyli do wycinania. W ten sposób, w razie nieudanego wycięcia, możecie sobie zrobić drugi rysunek, a nawet trzeci i czwarty i wycinać tak długo aż wam się portret uda. — Ma to także i tą dodatnią stronę, że w roczniku „Małego Światka” wzory pozostaną i kiedyś mogą służyć innym dzieciom do użytku t. j. do rozrywki i zajęcia. Jeżeli papier na którym rysunek został przerysowany jest za wiotki, należy go nakleić na drugim, nieco grubszym. Miejsca oznaczone czarno na wzorach mają być powycinane ostrym scyzorykiem. Najlepiej wycinać je na płycie szklanej, lub twardej deszczułce, ażeby krawędzi wycięte były ostro a nie poszarpane.

Wprawne palce potrafią powycinąć pola czarne i małymi nożyczkami. Wówczas papier, na którym kopję rvsunku zrobicie, winien być podatny a nie kruchy, ażeby się nie łamał.



Książę Józef Poniatowski.

Tak zrobione obrazy trzyma się między lampą lub świecą — a białą ścianą, lub białym arkuszem papieru, na których obraz przedstawi się w swojej właściwej formie. Miejsca bowiem znaczone na wzorach czarno, okażą się na ścianie jasne a cień rzucony z papieru czarny.

Im dalej od lampy trzymany będzie wzór, tem dokładniejszy będzie obraz na ścianie
(„Mały Światek” R. 1905.)



A, Tyralska,

Opowiadanie szafy.

„Och! co za wielka szafa!” Wołały dziewczynki, gdy dwóch mężczyzn przyniosło szafę do klasy, a że właśnie była przerwa, obstały szafę wkoło, dotykały jej ścian, kluczyka, zawiasów, — wreszcie jedna otworzyła podwójne drzwi. Pokażcie! pokażcie ją w środku, aż sześć półek na książki, aż sześć:” — Potem dziewczynki znosiły książki, układały je według liczb, a gdy zapełniły wszystkie półki, jedna zamknęła szafę i oddała kluczyk nauczycielce. Na następnej godzinie dzieci siedziały cichutko jak myszki i robiły roboty, a w tem usłyszały cichy szept od strony szafy. „Możebyście chciały posłuchać skąd przybyłam i jak mi się dotąd wiodło na świecie. Przed trzydziestu laty wielki pożar zniszczył część puszczy niepołomickiej — a potem w miejsce spalonych drzew, posiano dużo nasionek jodełek i sosenek. Po jakimś czasie zaczęłyśmy kielkować i wyrastać ze ziemi. Leśniczy oglądał nas często, nie dał paść się krowom w tej części lasu, by małych naszych roślinek nie uszkodziły. Gdy byłyśmy starsze, kazał nas gajowm przesadzić dość daleko jedną od drugiej. Jestem więc polską sosenką, myślałam niekiedy, a w puszczy stare sosny szeptały o królach, o łowach, o żubrach — aż dziw był słuchać tych cudnych powieści! Wyrosłam smukłą i cienką — słoneczko mnie grzało, wiatr od Wisły chłodził — a w lecie z Krakowa ze szkół i z innych miast przyjeżdżały dzieci na majówkę do lasu. Wtedy było mi bardzo wesoło, bo dzieci śpiewały nieraz ładniej od ptaszków. Minęło wiele lat, mój pień się ywdłużył, zgrubiał i wonna żywica spływała po korze. Aż raz wśród zimnej jesieni przyszedł leśniczy z gajowymi i kilkunastu starszemi dziećmi i kazał nas kilka sosen ściąć piłą przy samej ziemi. Wtedy przestałam żyć i rosnać — było mi smutno. Leśniczy kazał dzieciom obciąć me gałęzie, obłupać korę i wziąć sobie na opał. Dzieci w płachetkach niosły gałęzie, wachały je — a gdy w piecu buchnął potężny

nie zebrały i wrzuciły do beczki z deszczówką, by zrobić ług do prania. Tymczasem mój gruby pień przywiązano do wozu i wywieziono z lasu. Jechałam dość długo — wreszcie mnie odczepiono z wozu przed jakimś wielkim budynkiem, w którym słychać było tarcie i stuk. Pień mój przecięto na dwie części i włożono pomiędzy pięć pił, a one równocześnie przepiłowały mnie na sześć desek. Dziwiłam się bardzo, a inne deski pouczyły mnie, że piły rusza para wodna, a cały budynek to był tartak parowy. W tartaku moje deski nie długo zabawiły — zakupił je jakiś pan z miasta i znalazłam się na nowem mieszkaniu, w szopie. Po roku deski uschły i wzięto mnie do warsztatu. Na zamówienie jakiegoś pana w złotych okularach, zaczęto deski moje heblować, sklejać, zbijać, wycinać, aż pewnego dnia postawiono mnie na nogach, pomalowano i przyprawiono zamek z kluczem i zawiasy. Wieczorem przewieziono mnie na czwarte mieszkanie i postawiono w jakiejś długiej sieni. Nazajutrz, kiedy się rozwidniło dobrze, słyszę: drep, drep, drep! a toż co takiego! Jeszcze tyle dzieci odrazu nigdy nie widziałam! Zaraz poweselałam! Później przyniesiono mnie do waszej klasy i wtedy zrozumiałam moje przeznaczenie: miałam służyć polskiej szkole i polskim dzieciom! — Wasze żywe oczka przypomniały mi wiewiórki leśne, które mnie też oglądały ciekawie, a skakały, jak wy. Gdy pani nauczycielka, przywołała jakąś Hanię Wiatrównę, przypomniał mi się wiatr w lesie — ale mi już ani lasu, ani wichrów nie żal, bo będę mogła z wami się uczyć. Kiedy podczas przerwy zaczęły się bawić dzieci i kryć do kąta za moje wielkie drzwi, radość moja była ogromna. Gdy usłyszałam, jak któraś zawołała: „Nasza szafa pachnie lasem!” uciesze mej nie było końca. Tylko moje dziateczki, znów mnie smutek ogarnął, gdy na me półki składałyście brudne, podarte książeczki, bez kartek lub okładek. Co prawda więcej było

lasach — ziemi! Chciałabym, by wszystkie książeczki były takie czystutkie, jak moje półki i wewnętrzne ściany, zaś nieporządnym dziewczynkom z gniewem pogrozę kątem za szafą...

Święto Matki.

Cerekiew, dnia 21. 11. 1927.

Kochany Nasz Opiekunie Czcigodny
Ks. Redaktorze!

Dzielimy się naszą radością i nieopisanem zadowoleniem, jakiego doznaliśmy z powodu urzędzenia w naszym Kole Mł. P. Czerw. Krzyża w Cerekwi „Święta Matki”.

Jaki piękny i błogi ten czas, kiedyśmy wspólnie nasze Mamusie mogli przeprosić, uczcić, okazać naszą miłość i przywiązanie, wdzięczność za wszystko co od nich odbieramy. Urządziliśmy w niedzielę, 6. 11. 1927. Był śpiew i deklamacje ku czci Matek. Na pierwszym miejscu Matki Najświętszej. Deklamowało trzydzieści dziewcząt i chłopców razem. Byliśmy wszyscy tak wzruszeni, żeśmy się popłakali, i nasze Mamusie drogie ocierały łzy z oczu i z pewnością w sercu swem szeptały słowa błogosławieństwa dla nas.

Nigdyśmy się nie spodziewali, że ten dzień „Święta Matki” sprawi nam taką błogość w sercu, i duszy, jaką czujemy.

Warto urządzić taki dzień.

Pozdrawiamy mile czytelnicy „Małego Świata” w Cerekwi.

Kotelon Julian
uczeń V oddziału szkoły pow.
pocz. Uście Solne, Woj. Krakowskie.

Ewelina E.

Piosneczka dziewczynki.

Od rana pracuję,

Nigdy nie próżnuję —

Sprzątam z mamą matczką,

Kręcąc się w koleczko.

To trochę zamiotę

To warkoczek splotę

Braciszka zabawię

Albo co naprawię.

Nigdy się nie nudzę,

Kodzików nie trudzę,

Jak u siebie pracuję,

Czasu nie marnuję.

Do roboty siadam,

Z braciszkiem pogadam,

Powiem mu bajeczkę,

Zaspiewam piosneczkę.

Kocham ja mnie za to

Mama, brat i tato.

To jest moje dzieło.

Pogawędka pocztowa.

Od końca listopada wpłynęły następujące listy: Z kochanego Śląska, z Lipin Józef W. i Józef R. opisują uroczystość Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego z paleniem świeczek na grobach (Donieście, Czytelnicy z wszystkich stron Polski, czy i u Was panuje zwyczaj oświetlenia grobów w Dniu Zadusznym?) Janoska W. opowiada o wycieczce swej do Częstochowy na Jasną górę, Stanisław W, Wilhelm Gorecko i Wiktor D. dają opis obchodu dnia narodowego (dnia 11 listopada), Zarach Górniczy fabrykuje samoloty na wzór podanego w nr. 11. Czy samolot lata? W drugim liście z grudnia donosi, że chciałby zwiedzić Warszawę i zobaczyć pomniki, których odbitki podaje M. Świątek. — Ucieszyłem się bardzo listom z Kamieńca poznańskiego. Widzę, jak zacna Wasza Pani Nauczycielka się o Was stara. Pisali: Pelagja B, Władysława J., Pelgaja K., Stanisława N., Józefa Gr., Gertruda N., Cecylja N. z Cykówca, Antonina Sz., Marjanna J., Janina P., Anna Gr., Teodora Si., Helena P., Jan P., Franek C., Florjan Sz., Czesław Pi., Cyryl M., Wiktorja K., Marta Drz., Leokadja M., Felicja B., Janina A., Jadwiga M., Stanisław B., Heljodor K. i Marjan K., Staś J. Leon K., Aleksy A. — Najbardziej podobały się Wam powiastki: „Jak pastuszek uczył historii polskiej” i „Przygody wróbelka Czubusia”, artykuł o św. Jadwidze i opis Warszawy. Niektórych zagadek umieścić nie mogę, bo są powszechnie znane. — Izko G. z Poznania. Ciekawym jak wypadło Twoje świadectwo na 30. 1.7? Zosia Szczaniecka miała długie wakacje od połowy grudnia do połowy stycznia. Teraz jest znowu w Zbylitowskiej Górze. — Kazia Wł. z Sieradza pisze: „Nasza Krucjata eucharystyczna urządziła przedstawienie o Matce Boskiej, jak się ukazała Bernadecie w Lourdes”. — Sierotki z Lubawy płakały rzewnie, gdy opuszczała je na stałe dawniejsza przełożona, ale wdzięczne są swej nowej przełożonej za wielką dobroć. Piszą też: „Nie chcemy wolnych dni od nauki, bo w szkole nasze najmilsze lata”. Jakże miło mi słyszeć, że tak ukochałyście szkołę polską. — Dziękuję Wszystkim Dzieciom, które nadesłały życzenia gwiazdkowe, noworoczne, oraz imienninowe. Jakie pomysły i ozdoby są malowanymi z Lubawy! Wspaniały ten karzelek wieszający Nowego Roku. Wzruszyły mnie mile gruchające gołąbki, wysłane przez dzieci wszystkie i Czcigodne Siostry na dzień patrona (na papierze). — Śliczną teczkę do katalogów, — nadto piękne powinszowanie przywiozły mi dwie małe delegatki sierotek moich z Ostrowitego. Artystyczną serwetkę nadesłała Wala P. z Kościerzyny, inną piękną Fela B. z Sosnowca. Proszę nie robić sobie na przyszłość żadnych wydatków dla mnie. Tutaj wspominał o tem dlatego tylko, by serdecznie złożyć podziękę, nie odpisując na ogół osobno. Pozatem pamiętały o świętach oraz imienninach: Mila i Stefa Czaprzańki z Rzeszowa, Teresa Ch., z Srody Janka L. z Warszawy, Wladek Sch., z Kościerzyny, sierotki chore na oczy w Witkowicach, Sa-

ścierzyny (gimnazjasta kl. 3, sierota), Mania B. i Mania K. z Torunia, Basia z Szamotuł, Franek z Bogusławek, wszyscy moi przyszli misjonarze z Obrzy, Lublińca i Krobi.

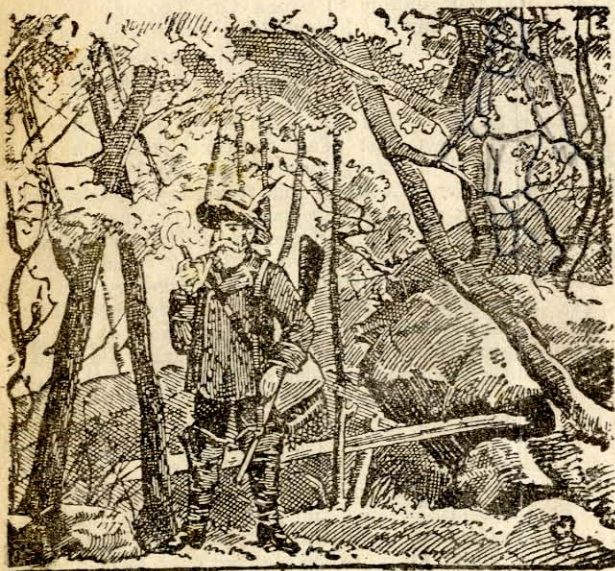
Serdecznie Bóg zapłać! Niech Wam Bóg błogosławi tak ja Wam błogosławię, Dzieci moje przybrane!

Wasz przywiązany opiekun i redaktor
Ks. Szumann

Rozwiązanie zagadek.

Zagadki wszystkie z nr. 12 rozwiązały: Władysław Schulta z Kościerzyny, Jan Kowalewski z Kościerzyny, Luśka Krzystkówna z Suchej (rozsypankę umieszczę pewnie), Wanda Szulcówna z Zblewa, Elżbieta Maniówna z Nowego Cisa, Zygmunt Wołorz z Pabjanic.

Łamigłówka obrazkowa.



Gdzie kłusownik?

TREŚĆ nr. 1 i 2: W Nowym Roku. — Życiorys „Małego Świątka”. — Zygmunt Rossowski: Siewca Boży. — Portret pani Anny Lewickiej. — Marja Czeska-Mączynska: Pani Annie Lewickiej założycielce „Małego Świątka” w holdzie. — Jadwiga Warnka: Listy Zosi do Warszawy. — Franciszek Podlak: Wspomnienia z uroczystości przewleżenia zwłok śp. Ks. Kardynała Ledóchowskiego do Polski. — Sześćsny Rogala: Dzielnym chłopcem. — J. M. Chudek: Przed pracą. — Dr. Jan Rogowski: W szpitalu lwowskim. — Anna Lewicka: Miłość macierzyńska. — Pius XI wśród dziatwy. — Stanisław Rossowski: Balon. — Sławny wynalazca Tomasz Edison jest abstynentem. — Michał abstynent. — Piotr alkoholik. — Marja Czeska-Mączynska: O czym gwarzy Stasiowi łódeczko. — Wisława: Zwyczaj noworoczny. — Gazetka dla Ministrantów. — Msza małego Molumba, czarnego ministranta. — Kącik Misyjny. — O paleniu tytoniu. — Marja Reutt: Żołnierzyki. — Wisława: Co mówią kotek? — Maryla Czerkawska: Kocio. — Zabawki naukowe i gry towarzyskie podawane przez Fr. Barańskiego. — A. Tyralska: Opowiadanie szafy. — Święto Matki. — Ewelina E.: Piosneczka dziewczynki. — Pogawędka pocztowa. — Rozwiązanie zagadek. R.M. Urwisze. — Łamigłówka obrazkowa. — Zagadki. — Obrazek cieniowy.

R. M. **URWISZE.**

Urwisze myśmy wszyscy, urwisze,
Chęcią do figłów akżdy z nas dyszy.
Brak nam do książki nieraz ochoty,
Lecz znajdziem zawsze chwilę na psoty.

W domu i w szkole codziennie słyszę:
„— Cóż z nich wyrosnie? — tacy urwisze! —“

Lecz wszakże płochość cechą jest młodzi,
Więc niechaj wiara wśród Was się zrodzi,
Że wnet pod Waszym zacnym przewodem
Staniem do pracy chlubnej z narodem!
Choć chęcią figłów każdy z nas dyszy,
Bośmy dziś wszyscy jeszcze urwisze!

Zagadki.

Bez rąk, bez nóg, bez gęby
Ma tylko grzbiet i zęby

—o—

Czy mogą kobiety gotować kłuski w zimnej Wodzie?

Obrazek cieniowy.



Adres dla przesyłek pieniężnych
(P.K.O. Poznań nr. 202768) i zamówień:
Administracja „M. Świątka”
„Ostoja”, księgarnia i drukarnia
w Poznaniu, ul. Pocztowa 15.

ADRES REDAKCJI:
Ks. Antoni Henr. Szuman
Nawra, pow. toruński,
wojew. pomorskie.

Przedpłata kwartalna płatna
z góry za 1 egzemplarz 75 groszy,
dla pobierających przynajmniej 10
egz. po 50 gr. W Stanach Zjedn.
Amer. 1 egz. kwart. 15 centów.